№ 24. Warszawa, dnia 12 Czerwca (31 Maja) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

NAFTA W POLITYCE.

Nafta—i to nawet nieoczyszczona—omal nie naderwała węzłów, łączących Austryę z Węgrami, nie obaliła ministeryum hr. Taaffego i obecnego systemu rządowego monarchii habsburskiej, wogóle omal nie stała się źródłem ważnych wypadków — dzięki polakom. Nie będziemy wprowadzali czytelników w szczegóły techniczne i celne tej sprawy, która wyrosła do olbrzymich rozmiarów, zabarwiła się politycznie i dotąd grozi burzą; winniśmy jednak przedstawić jej rdzeń główny. Według dotychczasowej (z r. 1882) taryfy, nietylko t. z. ropa, czyli surowica, ale nawet olej skalny niezupełnie oczyszczony, to jest niezdatny jeszcze do palenia, podlega bardzo małej opłacie celnej. Skutkiem tego w słynnych zakładach braci Noblów (na Kaukazie) zaczęto przygotowywać osobną naftę, która przechodząc tanio opodatkowana granicę austryacką, poddawana była destylacyi w rafineryach węgierskich i zwyciężała na rynkach produkt galicyjski. Przy odnawianiu obecnej „ugody," węgrzy, dbając przedewszystkiem o zyski swoich fabrykantów, utrzymali z małą podwyżką dawne cło od nafty. Jak dalece zaś ta kaukaska „nafta dla Austryi" szerokiem już płynie łożyskiem i zagraża galicyjskiej, dość zaznaczyć, że kiedy w r. 1884 przywieziono jej 27,000 cetn. metr., w r. 1885—250,000 c. m., a w pierwszych dwu miesiącach r. b. aż 75,000 c. m. Kopalnie miejscowe, przygniecione ciężarem podatków, z zalewem tym współzawodniczyć nie mogą. Dlatego też Koło polskie w Radzie państwa, jako bezpośrednio interesowane, oparło się „ugodzie" z Węgrami w tym punkcie. Lewica parlamentu, korzystając z tego starcia i pragnąc je wyzyskać przeciw rządowi, wystąpiła z wnioskiem przyjaznym dla nafty galicyjskiej, który Koło przyjęło. Wtedy wytworzyło się położenie bardzo poważne, mianowicie: z jednej strony ministeryum, poczyniwszy przyrzeczenia węgrom, obstawało przy proponowanej taryfie, polacy zaś bez szkody dla swego kraju przyjąć jej nie chcieli i trzymali w swem ręku losy obecnego gabinetu a poniekąd i systemu rządowego. Postawiono im też pytanie: co wolicie: ochronę dla swej nafty, czy ministeryum hr. Taaffego? Naturalnie, jak zwykle, przycisnięci do muru wybraliby oni ostatnie dobrodziejstwo, z którem żadnego innego porównywać dotąd nie śmią, ale tymczasem rozpoczęły się ciche układy, z których prawdopodobnie wyjdzie dla Galicyi jakieś drobne ustępstwo.

„Rząd zaangażował się wobec węgrów i przy danem słowie pozostać musi" — powtarzano strasząc bojaźliwych; ale czemu „zaangażował się" i „dał słowo" zgubne dla Galicyi rząd, w którym ministrem skarbu jest polak, p. Dunajewski? „Postępowanie p. Dunajewskiego — powiada trafnie *Gazeta warszawska* — jak było, tak jest ciągle niepojętem. Polityk ten ma dla Galicyi w imieniu własnem i kolegów swoich jedno tylko: *non possumus* — ale dlaczego? Dlatego, że się już umówiono z Węgrami. A dlaczego się umówiono, nie zapytawszy pierwej Izby deputowanych w Przedlitawii? Na to nie ma odpowiedzi. Gdyby taka metoda prowadzenia spraw, chociażby tylko skarbowych, uwiecznić się miała, to konstytucya stałaby się wkrótce martwą literą, a przedstawicielstwo krajów korony w Radzie państwa najważniejszą funkcyę swoją znajdowałoby w kiwaniu głowami na każde słowo ministeryalne. W p. Dunajewskim budzi się jakiś nowy apetyt. Wzięty z katedry profesorskiej na ministra, sam jeszcze, jak na człowieka zawodu naukowego, dość młody, przed sześciu laty rozpoczynał swą działalność w duchu bardzo konstytucyjnym, liberalnym — z pewną świeżością tchnienia w myślach i mowach. Dziś jego zachowanie się w sprawie nafty i poprzednie w sprawie komisyi długów wskazuje już w nim pewne przywiązanie do władzy, jako władzy—bez względu na cele, jakie posiadanie jej osiągnąć pozwala. *Reforma* krakowska, która ośmieliła się bardzo gruntownie, a oczywiście, surowo ocenić postępowanie ministra, uległa konfiskacie i będzie miała wytoczony sobie proces; p. Dunajewski mógł był jednem swojem słowem wpłynąć na prokuratoryę, ale jakże miał wpływać, kiedy on ją prawdopodobnie pobudził do wystąpienia?"

Jest to napomnienie bardzo sprawiedliwe. Przy zatargu o naftę powtarza się po raz tysięczny stara historya nowej Galicyi — lekceważenie istotnych interesów kraju dla „wyższej" polityki, a raczej dla utrzymania się jednostek przy władzy. Metodę tę stworzyli i stosują rozmaici dygnitarze stańczykowskiego chowu, którzy sprzedając dobra swego społeczeństwa za złoconą miskę soczewicy, zasypują mu oczy piaskiem „wyższych" względów.

Gdy kazano wybierać: wazon z naftą, czy kobietę — muzę gabinetu Taaffego, każdy prawowierny galicyanin uśmiechnął się do muzy. Zaprzeczyć trudno, że panujący obecnie system zapewnia Galicyi życzliwszą opiekę, ale i to jest niewątpliwem, że cześć polaków dla widomego przedstawiciela tego systemu dosięgła już najskrajniejszych granic bałwochwalstwa i naiwności. Wierzą oni w hr. Taaffego jak

w jedynego zbawiciela, bez którego nie istnieliby, nie używali praw konstytucyjnych, straciliby wszelkie warunki bytu. Czy dziwne, że on, przekonany tylokrotnie o tem wiernem poddaństwie, robi ze sługami, co mu się podoba? że pozwala, ażeby go sławili głodni, obdarci i posadzeni na szarym końcu stołu państwowego, chociaż posiadają szumny tytuł „panów położenia?“ Czego zażąda, to uczynią, gdzie zakomenderuje, tam pojadą, nie ma ofiary, której nie poniosą, aby tylko *on* był u steru. W katechizmie polityki galicyjskiej popieranie Taaffego stało się dogmatem, którego tylko garstka „warchołów“ nie wyznaje. Nawet ta myśl, że może inny byłby lepszym — jest bluźnierstwem.

Że wobec takiej czci i wiary mogła powstać sprawa naftowa, że posłowie galicyjscy przez kilka tygodni wytrwali w uporze — to niepojęte. Odskoczyli oni od swego bożyszcza chyba po to, ażeby z większym rozpędem przyskoczyć i w ostatniej chwili stanąć obok niego. Ruchy te obserwowaliśmy już nieraz i zawsze one kończyły się kwitkiem dla Galicyi. Kwitki takie będzie ona otrzymywała póty, póki raz nie stanie mocno przy swych prawach i albo nie obali obecnego ministeryum, albo nie nakaże mu szacunku dla swych słusznych żądań i krzywd nieuwzględnionych. Ale dziś na to nie ma odwagi — zaledwie ma ją na krótkie dąsy.

Z FRANCYI.

Paryż, 28 maja.

Sprawa wydalenia pretendentów. — Projekt oddzielenia kościoła od państwa. — Inne wnioski ustawodawcze.

Po wakacyach wiosennych Izba rozpoczęła na nowo swe posiedzenia. Przez ten czas nagromadziło się w powietrzu niemało elektryczności politycznej, a ciemne chmury zasnuły prawodawczy widnokręg. Z chmur tych trysło wczoraj parę krzyżujących się błyskawic i dał się słyszeć dolatujący zdala odgłos gromu.

Proszę tylko przyjrzeć się temu obrazowi. O godzinie drugiej, jak zwykle, galerye dla publiczności w *Palais Bourbon* przepełnione; wszyscy posłowie na swoich miejscach, ławy ministeryalne zapełnione również. Wśród ogólnej ciszy wyczekiwania podnosi się minister sprawiedliwości, zwany inaczej „stróżem pieczęci,“ i wolnym krokiem wstępuje na trybunę. Prosi on Izbę w imieniu gabinetu o upoważnienie wydalenia pretendentów do korony francuskiej przez prosty rozkaz ministra spraw wewnętrznych, zatwierdzony w radzie gabinetowej. Żądanie swoje uzasadnia p. Demôle zachowaniem się pretendentów, którzy gościnnie przyjęci przez Rzeczpospolitę, nie zrzekli się swych roszczeń i nie przestają przeciwko niej spiskować. Projekt odczytany zostaje wśród ogólnej ciszy, z prawicy tylko lecą podniecające przycinki. Monarchiści nie zdają się być przygnębieni propozycyą i nie bardzo wierzą w jej natychmiastowe urzeczywistnienie się; uważają przytem, że wygnanie tylko przysłuży się ich sprawie. Lewica republikańska przyjmuje wniosek milczeniem, nie zadawalnia jej bowiem.

Sprawa ta przez parę tygodni wakacyjnych rozstrząsaną była poza Izbą; na kilka dni przed otwarciem posiedzeń gabinet zbierał się kilkakrotnie dla narad. Bodźcem do wystąpienia było coraz śmielsze zachowanie się książąt orleańskich, a zwłaszcza licznych ich dworzan. Hrabia Paryża wydaje właśnie córkę za portugalskiego następcę tronu — odbywały się więc ceremonialne wizyty i przyjęcia, na które było zapraszane całe ciało dyplomatyczne zagraniczne, złożone z posłów, uwierzytelnionych przy Rzeczypospolitej; dzienniki monarchiczne wygrywały przy tej sposobności hymny i serenady, jakby restauracya już była dokonaną, pisma ilustrowane podawały portrety, zawsze z pełnymi tytułami: S. A. R... Starano się koniecznie wyprowadzić spokojnych nawet republikanów z cierpliwości. Gorętszym nie trzeba było i tego. Przypomniano, będące publiczną tajemnicą, szczegóły o ustroju partyi monarchicznej we Francyi, czekającej rychło-li tytuły *in partibus infidelium* przybrać będą mogły nareszcie szatę zupełnie prawną. Wywierano też silny nacisk na ministeryum, żeby sobie energicznie i stanowczo poczynało w tej sprawie. Przed paru już miesiącami postawiony był w Izbie odpowiedni wniosek, gabinet jednak postarał się podówczas, ażeby Izba przeszła nad nim do porządku dziennego, oświadczywszy wyraźnie, że, w razie potrzeby rząd sam potrafi nakazać poszanowanie dla prawa i konstytucyi. Pocóż więc żąda dziś znowu pozwolenia? — zapytywali republikanie—jeżeli niedawno oświadczał, że ma sam dostateczną władzę po temu. Chwiejność ta uderzyła wszystkich, spodziewano się bowiem, że gabinet wystawi wyrok z rozkazem wydalenia. W radzie ministeryalnej ważyły się istotnie różne wpływy. Trzech radykalnych członków gabinetu (Lockroy, Granet i Boulanger) nastawało na wygnanie bez ogródek, prezydent jednak, prezes ministrów i paru i innych członków ulękło się odpowiedzialności i pragnęło zasięgnąć — wyraźnego upoważnienia, pomimo widocznej niekonsekwencyi takiego postępowania. Idzie teraz o to, co pocznie Izba z tym fantem? Czy banicya znajdzie w niej dostateczne poparcie i jak wobec dalszych losów wniosku zachowa się gabinet. Powiadają bowiem, że Freycinet, w gruncie poczciwy, przeciwny jest wydalaniu, że pragnie tylko zyskać na zwłoce, zmitrężyć przedstawicieli narodu i wyprowadzić w pole, w razie zaś uchwalenia nakazu poda się do dymisyi. Spadek po nim objąłby prawdopodobnie Clemenceau. Nie wiadomo jeszcze, jak zachowa się Izba, a raczej jej większość republikańska wobec rządowego projektu. Faktem jest, że nie ma zgody na tym punkcie: jedni przeciwni są wydalaniu ze względów oportunizmu i umiarkowania, inni twierdzą, że jeżeli książęta spiskują, należy ich powołać przed sąd, jak zwykłych obywateli. Tego ostatniego zdania był poseł Basly, znany z świeżej zmowy w Decazeville, który w ślad za wnioskiem ministeryalnym postawił inny: o bezzwłocznej konfiskacie dóbr książąt orleańskich, zwróconych im w pierwszych latach Rzeczypospolitej i użyciu sum, osiągniętych z ich sprzedaży, na fundusz zakładowy kasy emerytalnej dla inwalidów pracy. Lewica nie była zadowoloną z tego projektu, podpisanego przez kilku posłów z najskrajniejszej lewicy, uważając go za przedwczesny, zyskał on wszakże poparcie wielu członków prawicy, którzy byli zdania, że rada Basly'ego kompromituje projekt rządowy. Ostatecznie oba wnioski,

WYBUCH ETNY.*)

Mesyna, 18 maja.

Kilkakrotnie w sprawach mojego zawodu odbywałem w bieżącym miesiącu podróż z Mesyny do Katanii, a zawsze zachwycałem się niewypowiedzianą pięknością krajobrazu, który, mając z jednej strony kolei, prowadzącej przez liczne tunele, przysuwającą się i odsuwającą Kalabryę, z drugiej zaś góry, czasem wysokie i spadziste, porośnięte olbrzymimi kaktusami, drzewami oliwnemi, osypane winnicami — należy do najwspanialszych okolic ziemi. Napawałem się widokiem morza, które ukazywało coraz nowe piękności swe, zapachem i świeżą, dziewiczą zielenią pomarańczowych i cytrynowych gajów, starannie utrzymanych i nawodnionych. Główną wszakże uwagę zwracałem na Etnę (w narzeczu ludowem sycylijskiem Mongibello=góra gór), która przy jasnej pogodzie, od czasu do czasu ukaże się, to znów się skryje, z początku na dłuższy potem na krótszy czas, zasłonięta górami, tłoczącemi się różnorodnie przy kolei. Po minięciu Taorminy, położonej na wysokiej górze i słynącej ze swych zabytków starożytności, między którymi pierwsze miejsce zajmuje dawny amfiteatr, Etna występuje na całej przestrzeni aż do Katanii, z małemi tylko przerwami, gdyż góry coraz więcej odstępują a u stóp ich rozściela się żyzna dolina. Siódmego i ósmego maja tylko górne części Etny wyrzucały niewielką ilość białej pary. Rankiem i pod wieczór można było widzieć całą górę do samego wierzchołka; tylko przedni, sfalowany pagórkami krajobraz, i góry znajdujące się w stronie między tym ostatnim i Etną, przedstawiały jeden olbrzymi grzbiet, pokryty w znacznej części śniegiem a na niższych spadkach jakby usiany wsiami i domami. W południe zebrały się obłoki naprzód koło wierzchołka, potem przy wyższej części góry, a powoli tak się rozpostarły, iż przednia wzgórkowatość wystąpiła naprzód, zasłaniając dalsze plany. Następnie obłoki osunęły się, ukazując najpierw wierzchołek i część ośnieżoną a wreszcie całą masę góry. Podczas mej drugiej podróży w tę okolicę, mianowicie 17 maja do Giarre-Riposto, zauważyłem, że śnieg na wierzchołku Etny przybrał barwę brudnawą. Uderzyło mnie to, tembardziej, iż w niektórych miejscach znajdowały się pasemka zupełnie białe. Około godziny 11 przedstawiała się Etna z Giarre w całej swej olbrzymiej postaci; o piękności tego krajobrazu nie może nikt mieć prawdziwego wyobrażenia, kto go nie widział własnemi oczami. Z najwyższego wierzchołka góry wypływały szaro-białe pasy, które przy zupełnej ciszy w tej sferze tworzyły z początku jedną masę skłębioną, potem rozdymające się i podnosząc, przybierały to formę rozgałęzionego korala, to pięknego drzewa; nareszcie rozesłały się jako masa pary i dymu, pośrodku ciemniejsza, z brzegów światlejsza, która okryła całą górę. Zaraz po 12 godzinie nastąpiło silne wstrząśnienie ziemi, potem do godziny 11 wieczorem nie zdarzyło się nic szczególnego, nie licząc kilku lekkich, małoważnych wstrząśnień.

Około 12 godziny 45 minut zostałem zbudzony przez silne wstrząsanie łóżka, głuchy, podziemny huk, trzeszczenie drzwi i sufitu w pokoiku, w którym nocowałem. Prędko zjawił się gospodarz i objawił, że od północy było już cztery silne wstrząśnienia, powtarzające się z coraz większą mocą, że należy czuwać, izby, w razie częstszych i mocniejszych uderzeń prędko opuścić mieszkanie. Wszyscy podróżni zjawili się w jadalni w niedokończonych toaletach, z kwaśnemi, zaspanemi i wystraszonemi minami. Nasz, zwykle wesoły gospodarz nie myślał teraz o śmie-

*) Sądzimy, że opis (w *Frankf. Ztng.*) wybuchu Etny przez naocznego świadka da czytelnikom naszym najlepsze wyobrażenie o tem ciekawem zdarzeniu. *Red.*

pożenione uchwałą Izby w jeden, zostały odesłane do komisyi i za dni kilka przyjdą pod obrady.

Oto pierwszy etap sprawy, mocno zajmującej dziś opinię publiczną. Wygnanie byłoby znacznem posunięciem Rzeczypospolitej w kierunku radykalnym. Posunąłby ją także inny projekt, który złożono również do laski marszałkowskiej. Mówią o wniosku oddzielenia kościoła od państwa. Należałoby raczej powiedzieć wnioskach, będzie ich bowiem co najmniej dwa: Yves Guyot'a o względnem i inny o bezwzględnem oddzieleniu. Przegrywką do nich jest świeża uchwała komisyi budżetowej, która 13 głosami przeciwko 9 odrzuciła po prostu budżet wyznań, uprzedzając tem niejako postanowienie Izby. Projekt Guyota stara się godzić stan dotychczasowy z odłączeniem kościoła od państwa. Budżet wyznań zostaje po dawnemu — 46 milionów — rozporządza nim jednak nie państwo, nie rząd centralny, lecz gminy miejskie i wiejskie. Zostaje on rozdzielony między poszczególne gminy, od których zależeć będzie utrzymanie go nadal lub nie. Prostą większością głosów gmina może oddzielić kościół od siebie. Suma jednak wyznaczona dla niej z ogólnego budżetu wyznań nie przepada, lecz pozostaje w gminie i ma być obróconą na ulgi podatkowe. Gminy tedy, które oddzielenie przeprowadziłyby u siebie, zyskałyby premium w postaci przypadającej im cząstki budżetu wyznań. Mniejszości przywiązane do kościoła musiałyby go utrzymywać wtedy własnymi, prywatnymi środkami. Kościoły, uznane za dzieła sztuki i zabytki pamiątkowe przeszłyby na koszt ministerstwa oświaty i sztuk; pozostałe zaś świątynie wszelkich wyznań — w zawiadywanie zarządów gminnych. Do stowarzyszeń religijnych projektodawca radzi zastosować prawo o syndykatach z r. 1884; należałoby także przejrzeć ustawę z roku 1867 i dać zupełną swobodę zarówno stowarzyszeniom wyznaniowym, jak i wszelkim innym. Przeciwnicy tego projektu powiadają, że przeniośłby on walkę między społeczeństwem świeckiem i klerykalizmem w łono gmin, coby mocno zawichrzyło i zaostrzyło sprawę, która rozstrzygnięta radykalnie nie byłaby tak jątrzącą. Społeczeństwo religijne miałoby zawsze możność zachować kult, na który zmuszeni są dziś łożyć wszyscy, wierzący i niewierzący. Uniknięłoby wtedy dziwolągu społecznego, w którym rząd republikański i żywioły wolnomyślne podtrzymują własnymi zasobami instytucye stanowczo im nieprzyjaznie usposobione. Wielu jednak z republikanów usiłuje pozostawić budżet wyznań i konkordat z Rzymem z 1861 r. dlatego tylko, że rząd, płacąc duchowieństwu, ma je tem samem pod swą kontrolą i władzą. Księża są wtedy państwowymi urzędnikami, pobierającymi pewną pensyę i jako tacy, obowiązani są do posłuszeństwa. Nie chcemy wypuścić kościoła z pod rządowej opieki — twierdzą — bo pozostawiony samemu sobie i obdarzony zupełną wolnością działania stanie się on stokroć niebezpieczniejszym. Przesadne te i niezgodne z duchem prawdziwej swobody obawy zwolenników starego, biurokratycznego porządku nie uratują sprawy oddzielenia kościoła od państwa. Oddzielenie to korzystnie oddziałać może na obie strony. Kościół utraci tylko ziemskie i świeckie przywileje; społeczeństwo zaś świeckie, wolnomyślne zyska swobodę, której mu dziś często we Francyi odmawiają dlatego tylko, że należałoby ją przyznać także wrogo obecnie dla Rzeczypospolitej usposobionemu kościołowi. Bądź co bądź, sprawa ta weszła już na porządek dzienny obrad parlamentarnych we Francyi i nie zejdzie z niego zapewne dopóty, dopóki rozbrat zupełny dwu, rywalizujących z sobą wpływów, przeprowadzony nie zostanie.

Dwa zatargi powyższe nie wyczerpują bynajmniej szeregu zadań, wiszących na parlamentarnej wokandzie. Minister wojny wnosi nowy projekt, zaprowadzający równą i obowiązkową dla wszystkich trzyletnią służbę wojskową. Dziś jest ona pięcioletnią, z wyjątkiem tych, którzy za cenę 1,500 fr. kupić sobie mogą jednoroczną. Minister robót chce zmienić ustawodawstwo o kopalniach z powodu zmowy w Decazeville'u. Ta również zmowa zniewoliła ministra handlu i przemysłu do podniesienia myśli sądów polubownych, skopiowane ze stosunków angielskich. Wniesiono także do Izby projekt zupełnej autonomii gminy miasta Paryża, ograniczonej dotąd w swem rozwoju względami ogólno-państwowymi. Wiele innych pomysłów oczekuje również prawodawczej kolei.

Jak widzimy, rozpoczynająca się sesya prawodawcza obiecuje być nader zajmującą i ożywioną.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawa wschodnia weszła już w okres wakacyjny. Rządy czterech państw, uczestniczących w blokadzie (Francya i Rosya nie przyjmowały udziału), cofnęły swoje floty i posłowie ich wracają napowrót do Aten. Okazuje się teraz, że zabawa wojenna kosztowała Grecyę 115 milionów drachm (franków) i kilkuset ludzi, zabitych w „przypadkowych“ starciach z turkami, nie mówiąc już o stratach, jakie pociągnąć musiało za sobą powołanie pod broń całej prawie ludności męskiej, zdolnej do pracy. W Serbii i Bułgaryi cicho, zwłaszcza że rząd rosyjski ocenia stan rzeczy w Bułgaryi spokojnie, daleko spokojniej, aniżeli ochotnicy polityczni.

Projekt rządu pruskiego o wyjątkowem uposażeniu w prowincyach wschodnich nauczycieli, mianowanych przez rząd powrócił znowu do sejmu, ponieważ, jako zawierający zmianę konstytucyi, winien być zatwierdzony powtórnie, po upływie 21 dni od pierwszego głosowania. Rozumie się, że przyjęto go bez żadnej zmiany. Posłowie polscy zaprotestowali dosyć miękko. Ks. Dinder przybył już do Poznania, odwiedziwszy poprzednio Berlin, gdzie przyjmowano go w sferach rządowych bardzo przychylnie. Zbłąkana chwilowo owczarnia, ujęta teraz kilkoma frazesami, powraca, przynajmniej w osobie przewodniczących jej baranów, do uległości nowemu pasterzowi.

Komisya parlamentu niemieckiego odrzuciła projekt rządowy opodatkowania wódki, postawiony zamiast pogrzebanego poprzednio monopolu, oraz wszystkie poprawki konserwatystów i narodowo-liberałów. Minister skarbu żądał 120 fenigów podatku od litra wódki, później zgadzał się na 80, jak chcieli zachowawcy, gotów był przyjąć nawet 25 f. jak proponowali niektórzy członkowie centrum, ale i w tej formie wniosek upadł. Opozycya domagała się wyjaśnień, na co potrzebne są rządowi sumy, które otrzyma z nowego podatku, ale wyjaśnienia odmówiono i to było jedną z głównych przyczyn odrzucenia projektu.

Uchwała komisyi parlamentarnej francuskiej postanawia przymusowe wydalenie z granic kraju wszystkich t. z. książąt

---

chu, a żona jego lamentowała i krzyczała. Obsiedliśmy duży stół i paląc cygara gawędziliśmy o przejściach i zdarzeniach dzisiejszej nocy. Gospodarz zaczął nam opowiadać, że zwierzęta czują wstrząśnienia pierwej, niż człowiek, i natychmiast wydają osobne głosy. Ledwie skończył, zabrzmiał niezwykły w tej godzinie ryk żałosny osła, i zaraz poczuliśmy umiarkowane wstrząśnienie. Kilkakrotnie zrobiłem owej nocy to zajmujące spostrzeżenie. Ponieważ wstrząśnienia powtarzały się często, byliśmy zmuszeni opuścić około 2 godziny dom i ostatek nocy spędzić na świeżem powietrzu.

Noc była czarująca, księżycowa. Etna przedstawiała się w całym swym majestacie, aż do najwyższego punktu. Wierzchołek wyrzucał ciągle czarne kłęby dymu bez najmniejszej jednak przymieszki ognia. Natomiast niżej przy górze, od strony południowo-zachodniej, pod Nicolosi, zaświecił blask i ukazały się kłęby dymu, które od czasu do czasu mocno jaśniały. Wstrząśnienia ustały, i ludność, która tłumnie wyszła na ulicę, zaczęła się rozpraszać. Ja zaś wolałem jak najdłużej zachwycać się tym wspaniałym i potężnym widokiem, pozostałem też przez całą noc. Księżyc świecił nieprzerwanie, tak, że najskrajniejsze krawędzie krajobrazu rysowały się wyraźnie, jak we dnie. Zwolna pobladł on przy nadpływającem ze wschodu świetle, które naprzód góry dalekiej Kalabryi a po za Capo Spartivento, ku wschodowi brzeg morski oblało złotem; później wznosząc się coraz wyżej, zapowiedziało znowu śliczny dzień, jeden z tych, jakie w ostatnich czasach miewaliśmy bez przerwy. Teraz można było widzieć nad miejscem ostatniego wybuchu potężny słup dymu, który, co do objętości o wiele przewyższał dymy wierzchołka Etny.

O godzinie 5 i 20 minut rano nastąpiło znowu silne wstrząśnienie. Niestety, naglące interesy nie pozwoliły mi odwiedzić działającego krateru tego samego jeszcze dnia; musiałem powrócić do Mesyny. W podróży mogłem przez długi czas zachwycać się wspaniałym widokiem dwóch czeluści dymiącego wulkanu. W Mesynie, ile mi wiadomo, nie dało się czuć dotąd (28 maja) najmniejsze nawet wstrząśnienie; jednakże z tutejszego dworca kolei, z którego zazwyczaj nie widać ani Etny, ani par, można było dostrzedz masy dymu a w nocy pomimo jasnego światła księżyca odblask rozognionej masy.

Z artykułu tutejszej gazety *L'Imparziale*, który się opiera na danych Cafiera, dyrektora meteorologicznego obserwatoryum w Ripasto (niedaleko od Giarre przy morzu) dowiaduję się, że nowy, silniejszy wybuch nastąpił w pobliżu dawnego (1883 r.). 18 maja średnia wysokość barometru wynosiła 771 mm.

Wedle wiadomości, zakomunikowanej z Katanii 20 maja gazecie *Giornale di Sicilia*, która się pojawiła w druku 21 maja, powstało około 20 otworów, z dziesięciu płynie lawa, z innych zaś popiół i żużle. Wybuch nastąpił przy Monte Grasso, 4 kilometry od Monte Principe di Napoli, która to góra powstała przy wybuchu r. 1883. Potok lawy dosięgający w niektórych miejscach 200 metrów szerokości, na wschód od Nicolosi zniszczył najżyźniejsze łany. Płynąca lawa wydaje szmer, jak woda w strumieniu. Kratery wyrzucają masy jej z nadzwyczajnym łoskotem, czasem na znaczną odległość. Spustoszona miejscowość należy do Nicolosi, nieszczęśliwi posiadacze są po większej części biedakami. Mieszkańcy miasteczka i okolicy nocują pod gołem niebem, gotują się do emigracyi. Położenie ich okropne. Święte obrazy wystawiono przed kościoły. Lawa, płynąca dwoma potokami, przybliżyła się 20 maja na 8 kilometrów do Nicolosi. Wieśniacy obnosili obraz św. Antoniego, patrona od ognia, postawili go na ołtarzu naprzeciw strasznego widowiska i błagali o litość. Nikt z ludzi nie zginął, ale straty w bydle są wielkie. Z powodu znacznego napływu ciekawych przewodnicy każą sobie płacić bajeczne wynagrodzenie. Chętnie przyjąłem propozycyę kilku mych przyjaciół towarzyszenia im w wycieczce dla ujrzenia tak wzniosłego widoku zblizka. 22 maja

krwi, rząd jednak nie zgadza się na to i pragnie wypędzić tylko pretendentów, innych zaś pozostawić we Francyi, jeżeli będą prosić o to. Gdyby wszakże Izba zatwierdziła uchwałę komisyi, gabinet przyjmie ją bezwątpienia.

W Belgii nastąpią wkrótce wybory do Izby deputowanych. Właściwie jest to tylko częściowe odnowienie kompletu, wychodzi bowiem połowa posłów. Rząd zamierza wywrzeć silny nacisk na wybory, świadczą o tem zakazy zebrań robotniczych, konfiskaty pism i procesy wytaczane redaktorom dzienników radykalnych. Stronnictwo liberalne rozpadło się na dwie grupy, jedna z nich t. z. doktrynerzy odrzuca a raczej odkłada na później wszelkie projekty reform, radykalni zaś domagają się powszechnego głosowania i żądanie to wystawiają w manifestacyach wyborczych. Prawdopodobnym skutkiem tego rozdwojenia będzie znowu zwycięstwo partyi klerykalnej.

Rozruchy agrarne powtarzają się ciągle w różnych miejscowościach Włoch. W okolicach Bolonii wystąpiły kobiety, które pobiły policyę, obecnie wysłano przeciw nim wojsko.

W Padwie znowu z powodu odsłonienia pomnika Garibaldiego studenci urządzili demonstracyę anti-austryacką i stoczyli zaciętą walkę z karabinierami, którzy chcieli rozpędzić tłum.

Sztucznie powstrzymywane antagonizmy narodowe w Austryi występują przy każdej sposobności. Z powodu uczczenia pamięci generała austryackiego, który w r. 1848 bronił Budy przeciw węgrom, studenci peszteńscy urządzili burzliwą manifestacyę. Rozdrażnienie i wzajemne zarzuty przeniosły się z ulicy do prasy a nawet do obu parlamentów. W zeszłym tygodniu znowu w Lublanie odsłonięto pomnik poety niemieckiego Anastazyusza Grüna; słoweńcy oburzyli się na to publiczne uczczenie człowieka, którego uważają za zdrajcę swej narodowości i urządzili przed pomnikiem kocią muzykę. Zaburzenia uliczne przyjęły w końcu poważniejszy charakter i z trudnością mogły być stłumione.

Znany anarchista niemiecki Jan Most, który obecnie mieszka w Ameryce, skazany został za podburzanie robotników na rok więzienia. Innych przywódców zaburzeń w Chicago, Millwaukée itd. skazano również na kilkomiesięczny areszt.

Peszt. Rozruchy anti-rządowe przyjęły groźne rozmiary. Od kilku dni na ulicach miały miejsce utarczki z policyą, wreszcie 8 czerwca na pogrzebie zabitego przez wojsko robotnika urządzono olbrzymią demonstracyę. Narodowcy żądają utworzenia oddzielnej armii węgierskiej. Tisza stoi właściwie po stronie patryotów, chociaż potępia zajścia. Sfery dworskie w Wiedniu powstają przeciw madziarom. Na placu publicznym w Peszcie w odwet studenci powiesili na szubienicy portret arcyksięcia Alberta.

Londyn. Izba gmin odrzuciła w drugiem czytaniu większością 30 głosów projekt samorządu dla Irlandyi. Gladstone postanowił rozwiązać parlament. Ostatnie depesze donoszą o wzburzeniu umysłów w Irlandyi i poważnych starciach ludu z wojskiem.

SPRAWY EKONOMICZNE.

DOBROCZYNNOŚĆ PAŃSTWOWA W ANGLII.

Zasada wielkiej własności nigdzie nie jest tak dalece urzeczywistnioną, jak w Anglii. Panuje ona zarówno na polu przemysłowem jaki w rolnictwie. Warstwy średnie, chłopskie i rzemieślnicze, zapełniające w krajach innych jako tako przepaść społeczną między najmitą wolnym a kapitalistą, zanikły; dochowało się zaledwie drobne kramarstwo. Atoli z takim stanem rzeczy zespala się mnóstwo stron ujemnych. Przesilenia handlowe dosięgają tu nader olbrzymich rozmiarów i szerzą straszne spustoszenie, a na nizinach społeczeństwa spotyka się ludzi, co zdolni będąc i radzi pracować, mrzeć muszą z głodu w braku zarobku. Pauperyzm — oto jedna z plag Albionu, zresztą nierozerwalnie związana z samymi warunkami tamtejszej produkcyi. Liczba nędzarzy, którzy otrzymali byli zapomogę państwową, wynosiła w Anglii i Walii przeciętnie z dnia jednego 1850 r. aż milion z okładem, t. j. blisko 6% całej ludności; w 1860 r. — 800,000, tj. około 4½%; w 1870 — milion z górą, tj. 4,7% itd., a z tej liczby w 1850 znajdujemy 19% ludzi dojrzałych, w pełnym rozkwicie sił i uzdolnień do pracy, w 1860 — 15½%, w r. 1870 — 17%! W innych krajach Europy sroży się również klęska nędzy i pauperyzmu, dość spojrzeć na Galicyę. Wszelako powody są różne, bo gdy w Galicyi wypływa ona poniekąd z niedostatecznego rozwoju ekonomicznego, w Anglii jej źródło spoczywa w nadmiernym wykwicie sił wytwórczych i w nadprodukcyi przemysłowej. Ilość nędzarzy angielskich zwłaszcza tej kategoryi, która obejmuje ludzi w sile zdrowia i wieku, jest arcyzmienna, stanowiąc termometr, pokazujący bieg korzystny lub niepomyślny interesów handlowych i przemysłowych. Przesilenia handlowe, sprowadzając bezrobocie przymusowe, nie omieszkują wzmocnić wszystkich danych w statystyce dobroczynności, pomyślny zaś stan konjunktur na rynku działa wręcz odwrotnie. Więc pauperyzm angielski, jako wynik zawichrzeń w sferze wymiany, miewa swe odpływy i przypływy, stanowi nieodłączne a niezbędne następstwo obecnych warunków produkcyjnych Anglii. Ponieważ zaś sprawa ta dotyczy robotnika fabrycznego, co nie poddaje się nędzy z milczącą pokorą, cechującą naszego wieśniaka, zatem też i samo społeczeństwo angielskie pospieszyło z ogłoszeniem nowego prawa o zapomogach państwowych dla pogrążonych w przepaść nędzy z braku zarobku. Zważywszy teraz rozwój produkcyi fabrycznej w Anglii, dziwić się nie potrzebujemy, że dobroczynność państwowa nigdzie nie dosięgła takich wymiarów, oraz nie ogarnęła tak potężnego zakresu działań. Wszak koszta same utrzymania tej instytucyi, jakoteż wsparcia wynosiły w Anglii i Walii w 1870 roku aż 7,600,000 funtów sterlingów (t. j. przeciętnie 7 szylingów na mieszkańca), a w 1880 podniosły się do 8,000,000 f. st. (tj. przeciętnie spadły do 6⅓ szyl. na mieszkańca). Do studyów też nad angielską dobroczynnością państwową zwracają się te kraje, co wstąpiwszy w ślady Anglii, poczynają na sobie doświadczać skutków wytwórczości kapitalistycznej w postaci pauperyzmu. Jak państwo to jest krajem klasycznym nowoczesnej produkcyi, tak samo jest ono krajem klasycznym dobroczynności państwowej.

---

o godzinie 1 wyruszyliśmy w drogę. Dzień był upalny. Etna ukazała się nam tym razem zaledwie po za Taorminą, w górnej części, przez całą długość pokrywały ją warstwy biało-szarych obłoków, na wierzchołku, mianowicie zaś w miejscu wybuchu, unosiły się czarne słupy dymu. Dym nad tem miejscem przewyższał o wiele wydostający się z wierzchołka Etny. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca oświeciły pysznie brzegi czarnego słupa żółto-pomarańczową barwą. Dym z krateru wierzchołkowego coraz się zmniejszał. O 5 godzinie, 30 minutach przybyliśmy do Aci Reale; posiliwszy się należycie po doznanych trudach, podążyliśmy w górę do Etny. W każdej wiosce witano nas jako „inglesi“ (w okolicy tej każdego cudzoziemca mają za anglika, mianowicie kiedy podróż odbywa pieszo). Dziwnie wydaje się tym ludziskom nasz ubiór podróżniczy. Najbardziej jednak zadziwiało ich, że my, cudzoziemcy, a więc wedle ich pojęcia mający dużo pieniędzy, nie staraliśmy się jak najdalej jechać w powozie a potem konno, lecz przeciwnie zamierzaliśmy odbyć pieszo całą tę przestrzeń aż do miejsca wybuchu. Wielką przyjemność sprawiła mi rozmowa z przewodnikiem dwóch mych przyjaciół, którzy już od wielu lat w Mesynie mieszkają, i biegle władają narzeczem sycylijskiem. Często przyłączali się do nas ciekawi wieśniacy. Biedni ludziska sami nie wiedzieli za kogo mieć tych dwóch panów, którzy wprawdzie płynnie mówili po sycylijsku, lecz nie całkiem prawidłowo i nie wyglądali na sycylijczyków. Minęliśmy wiele pięknych miejscowości: S. Lucia, S. Antonio, Veranda, Trecastagni i Nicolosi. Już w S. Antonio słyszeliśmy łoskot, pochodzący z nowych kraterów i widzieliśmy wysoki wydobywający z nich płomień, który, im bardziej noc zapadała a my zbliżaliśmy się, tem większe przybierał rozmiary. Przytem rozlegał się jakiś dziwny, przerywany grzmotem huk, który można by porównać z hukiem wzburzonych bałwanów morskich łamiących się u brzegów skalistych. Już w kilku poprzednich miejscowościach nie zapominaliśmy o naszem „ergo bibamus;“ w Nicolosi urządziliśmy ostatni odpoczynek i wyruszyliśmy stąd o 11 godzinie wieczorem, zmieniwszy przewodnika, zanadto smakującego w winie. Nowy przewodnik przeszedł nasze oczekiwania. Droga z Nicolosi prowadzi w górę, z początku przez głęboki piasek wulkaniczny, potem, to w górę, to na dół, przez wyżynę usianą kawałami lawy—bardziej nieznośnej i nużącej drogi niepodobna sobie przedstawić. Spotykaliśmy mnóstwo ludzi pieszych lub też jadących na mułach; jedni powracali z miejsca wybuchu, drudzy znów podążali na miejsce katastrofy. Po długiem, trzygodzinnem wdrapywaniu się zostaliśmy za trudy nagrodzeni widokiem, którego piękność majestatyczną, nawet pióro bieglejsze od mojego nie zdołałoby należycie opisać. O 2 godzie w nocy przybliżyliśmy się do niezbyt szerokiego i wysokiego potoku lawy, który płynąc powoli, wydawał szmer, podobny do szelestu wody w strumieniu. Nie mam potrzebnej wyobraźni, dla wynalezienia w tej chwili lepszego porównania. Od czasu do czasu spadały potężne, żarzące się bryły lawy, które przy zetknięciu z drzewem lub krzakiem zapalały go natychmiast. Uczyniwszy zadość zwyczajowi i zapaliwszy u jednej z takich brył cygara, gdyż do potoku lawy nie można było przybliżyć się z powodu spadających co chwila brył i nieznośnego dla oczu żaru, usiedliśmy na pagórku o piętnaście może kroków od łożyska. Stąd mogliśmy jednym rzutem oka ogarnąć cały ten imponujący obraz. W niewielkiej odległości na lewo płynął najdalej posunięty pas lawy, nadzwyczajnej wysokości i miejscami tworzący najróżnorodniejsze kształty. W jednem miejscu przedstawiał się — naturalnie pomijając barwę — jak potężny wodospad; w prostym kierunku rozciągało się znów ogniste, żółto-czerwone morze, Od niego na lewo odgałęziło się kilka ognistych potoków, na prawo z rozpalonej masy wyjrzał ciemny szczyt góry, z którego tryskały wysokie fontanny i wydymały się garby ognia. W tyle na prawo zamykał się widnokrąg spadzistym, śnieżnym, zachodnim grzbietem Etny. I na wielkiej płaszczyźnie ognia można było dostrzedz rozmaite, dzi-

W takiej to drodze powstało dzieło dra Aschrotta (*Das englische Armenwesen.* Lipsk, 1886), z którego w artykule niniejszym czerpiemy materyał faktyczny.

Zasady tej dobroczynności państwowej, o ile dotyczą pauperyzmu w sile wieku i zdolności do pracy, są następujące:

Współczucie osobiste lub wstręty rozdawcy wsparć a wzgląd na cnoty lub wady nędzarza — oto pobudki, kierujące dobroczynnością prywatną. Nic podobnego nie ma i być nawet nie może w dziedzinie dobroczynności państwowej. Ta ostatnia, nie będąc dobrowolnym wynikiem serca, lecz tworem potrzeby nieubłaganej, bo przeciwwagą gwałtom, ku jakim niedostatek pchnąć może nędzarza, bo koniecznością wobec nowoczesnych warunków produkcyi, które podczas przesileń wyrzucają na bruk tysiąca ludzi, a na starość lub przypadek kalectwa pozostawiają ich bez żadnych widoków zarobku, więc i utrzymania — pozbyła się wszelkich cech dobroczynności prywatnej. Nie sympatya osobista rozdawcy, nie zalety nędzarza stanowią o zapomodze i wysokości wsparcia, lecz niedola, w jakiej przebywa błagający zasiłku. Gdy jałmużna prywatna udziela się pod wrażeniem chwili, np. dla usunięcia z przed oczu natrętnego żebraka, bez względów na dodatnie owoce podania ręki, przeciwnie, dobroczynność państwowa winna wyrugować wszystkie bodźce takie, a rządzić się jedynie wyrachowaniem chłodnem, baczącem nietylko na to, by nędzarza ocalić na dzisiaj od głodu, lecz i na dalsze skutki jałmużny, na to, żeby nie zwiększać falangi żebractwa, nie siać lenistwa i niedbalstwa. Skoro każdemu wiadomo, że w nieszczęściu znajdzie schronienie u państwa, które winno mu podać dłoń pomocy, tedy zaniedbywać się może w swych obowiązkach, lekkomyślnie trwoniąc zarobek, bez troski o dzień jutrzejszy. Państwowa więc instytucya dobroczynna musi pamiętać, że pobłażliwością zbyteczną zamiast dodatnie, może sprowadzić wielce opłakane wyniki, zwłaszcza wobec faktu, iż pospiesza z pomocą również ludziom w rozkwicie zdolności do pracy. Dla zabezpieczenia się od błędów rozdawnictwa i fatalnych następstw w rodzaju przytoczonych, angielska dobroczynność państwowa opiera się na zasadach następujących: a) działalność jej winna być powszechnie znana, iżby każdy mógł kontrolować, komu i jakie udzielono wsparcie; b) zapomogę otrzymuje każdy, lecz winna być ona tak uciążliwa, żeby udawano się po nią dopiero w ostateczności, gdy wszystkie wysiłki do wydobycia się z przykrego położenia zawiodły; c) samo zaś wsparcie, jakkolwiek winno wystarczać jedynie do pokrycia najniezbędniejszych potrzeb życia, przecież zawsze dawać mniej wygód, niż własną samopomocą zdoła uzyskać człowiek wobec każdorazowych warunków na rynku siły roboczej. W widokach urzeczywistnienia dwóch zasad ostatnich pozakładano „domy robocze“ (Workhouse), znane w żargonie gminnym pod nazwą „bastylij nowoczesnych.“ W każdym okręgu dobroczynnym istnieje jeden taki zakład, a ludność jego poddaną jest karności surowej i ograniczeniom. Je ona, wstaje, udaje się na spoczynek wedle komendy; palenie tytoniu, używanie trunków, gra w karty — zabronione. Odwiedziny przyjmować wolno jedynie za dozwoleniem ze strony władzy, a wyjście chwilowe na zewnątrz najeżone jest przeróżnemi trudnościami. Kobiety i mężczyzni trzymani są oddzielnie, a rozłączeniu ulegają nawet małżonkowie, jeśli nie przekroczyli 60 lat wieku. Książki czytane podlegają cenzurze zarządu. Pokarm otrzymuje się w dozach jak najskromniejszych i nie tak obfitych, jak dla najgorzej zarobkującego robotnika na swobodzie. Wreszcie osoby, szukające przytułku w domu roboczym, zmuszone są przez dzień cały siedzieć nad monotonną robotą skubania starych żagli okrętowych, rozbijania kamieni itd., a surowa kara samotności towarzyszy przekroczeniu najmniejszemu. Wobec takich obostrzeń dom roboczy uważa się za więzienie, ludzie też zdolni do pracy udają się doń tylko w przypadku nędzy bez wyjścia. Natomiast urzędy dobroczynności państwowej otwierają przytułek taki, bez zasięgania wiadomości o stanie nędzy, każdemu, przekonane, że tylko w ostateczności ofiara ich zostanie przyjęta. W ogóle zakłady te stanowią prawie jedyną postać wsparcia, z jaką państwo pospiesza ludziom zdrowym a silnym. I mimo takich uciążliwych warunków, w 1880 r. w domach roboczych Anglii i Walii dziennie przebywało do 180,000 ludzi, w tej liczbie 22,500 zupełnie zdrowych i silnych! „Skoro nie pamiętałeś, że mogą nastać ciężkie czasy, otrzymasz pomoc, lecz w formie arcy niemiłej i nieprzyjemnej“ — tak Aschrott wypowiada zasadę, która przewodniczy instytucyi dobroczynności państwowej w Anglii i kieruje jej postępowaniem.

Tyle co do podstaw teoretycznych. Byłoby nader ciekawem wykazać jeszcze, jak instytucya owa powstawała i zmieniała się pod wpływem rozwoju stosunków ekonomicznych, jak wreszcie walczyły z sobą te dwa czynniki: z jednej strony interesy opłacających podatek na biednych, którzy radzi byliby kontrolować i prowadzić tę instytucyę, z drugiej zaś konieczność centralizacyi ogólno-państwowej, obiecującej równomierniejszy podział ciężarów, znoszącej wyzyskiwanie jednych okolic przez drugie i zaprowadzającej niepomierną oszczędność wskutek zcśrodkowania szpitali, szkół, domów roboczych itd., czynnik więc, który w epoce teraźniejszej, mimo swe zalety, doprowadza z konieczności do obrócenia wszystkiego w maszynę biurokratyczną. Z braku miejsca nie poruszymy tych nastręczających się punktów. Powtórzymy jeszcze raz jeden, że dobroczynność państwowa w Anglii jest wynikiem wyrachowania. Zamiast dawać żebrakowi jałmużnę na ulicy, anglik pisze traktaty, że zapomoga taka do niczego nie doprowadzi, lecz wzmacnia natomiast żebractwo — grosz więc ten woli on oddawać do kasy dobroczynności państwowej; na samego siebie nakłada nader wysoki podatek, wznosi domy robocze itd., bo wie, że nędzarz zamiast rzucać się w przepaść występków przeciw własności, w większości wypadków uda się do domu roboczego; następnie zakład ów, w czasie przesileń pochłaniając i przechowując siły robocze, będzie je wyprawiał na rynek w miarę potrzeby interesów handlowych. Atoli, by uniknąć nadużywania swej kieszeni, anglik zamożny, lubo każdemu otworzył na oścież dostęp do pomocy państwowej, umiał ją jednak ogrodzić takimi warunkami, że tylko ostateczność zmusza do przyjęcia jej.

K.

---

wne i malownicze formy. Tak np. w jednem miejscu widzieliśmy jak gdyby rozżarzone mury spalone spustoszonego grodu. Z płonących drzew i krzaków strzelały niebiesko-białe płomienie, odkreślające łożysko lawy. O ile z naszego pagórka mogliśmy rozróżniać, widzieliśmy trzy potoki; na prawo, płynący w stronę Pedary przedstawiał największą szerokość, wynoszącą przeszło 1 metr. Był on najgroźniejszym dla Nicolosi, niebezpieczeństwo jednak, zdaje się, już minęło. Żużle wulkaniczne, które z początku padały do nas rzadko, teraz zaczęły zlatywać coraz częściej; przy zetknięciu się z ziemią wydawały szmer deszczu, spadającego na suche liście. Niektóre kawałki miały wielkość jaja gołębiego. Nad ranem, gdy już można było rozpoznać drogę, porzuciliśmy naszą siedzibę, obeszliśmy front i skrzydło głównego potoku, który dosięgał wysokości domu i zapalał przy posuwaniu się liczne drzewa i krzaki, i udaliśmy się na Monte Alboro. Stąd można było najdokładniej widzieć krater (znajdujący się przy Monte Grasso); zajrzeć weń jednak było niepodobna, znajdował się bowiem o niewiele tylko niżej, niż miejsce naszego stanowiska, jedynie przystępne i najwyższe w pobliżu otworu (wiele otworów złączyło się w jeden). Gdy dotarliśmy do tego punktu, góry okalające widnokrąg na wschodzie zaczęły się odgraniczać jaśniej, a lawa przybrała barwę ciemniejszą. Pomimo to z krateru wydostawał się jeszcze ciągle wysoki słup ognia i wylatywały olbrzymie rozognione kamienie, które zakreślały swym biegiem wdzięczną linię łuku lub odlatywały dalej i ciemniały spadając na ziemię. Im bardziej świtało, tem płomień stawał się ciemniejszy i przechodził w dym. Po środku jednak widniało jądro ogniste, nawet przy oświetleniu słonecznem w całej pełni, pomimo znacznej odległości. Ziemia pod nogami naszemi ciągle się wstrząsała i sprawiała podobne uczucie do tego, jakiego doznajemy, stojąc na olbrzymim i czynnym kotle parowym. Od czasu do czasu powtarzały się silne wstrząśnienia. W pobliżu miejsca wybuchu lawa świeciła nawet po wejściu słońca, jak rozpalone żelazo i zdawała się tam poruszać z prędkością płynącej wody. Dalej od otworu przy dniu wyglądała czarną i zastygłą, przez szpary jednak i szczeliny przeświecała rozogniona masa; nadto co chwila spadająca na brzegi potoku lawa zdradzała najwyraźniej demoniczne życie we wnętrzu tej ciemnej masy. Staczające się kamienie nie pozwalały podejść do łożyska na kroków dwadzieścia.

Powracaliśmy drogą na Nicolosi, prowadzącą przez winnice i ogrody owocowe, okolone murem z brył lawy, potem okropną ścieżką, usianą stwardniałymi kamykami lawy, kaleczącą nam nogi. Deszcz żużli towarzyszył nam ciągle. W Nicolosi wszędzie były powystawiane obrazy świętych, zwrócone twarzami do miejsca, skąd pochodziło okropne dla biedaków nieszczęście. Mieszkańcy siedzieli w swych domkach, potok lawy bowiem, który im zagrażał, zwrócił się w stronę Pedary.

Schodząc z Nicolosi do Aci Reale słyszeliśmy długo jeszcze huk i szum wściekle pracującego krateru, wyrzucającego słup ognisty, otoczony czarnymi kłębami dymu. Szczyt góry tylko lekko się dymił. W Aci Reale zrównoważyliśmy dobrym obiadem i jeszcze lepszym napitkiem dziesięciodniowy marsz po kamieniach i bezdrożach oraz wysiłki bezsenności. O godzinie 7 wieczór 23 maja przybyliśmy nareszcie do Mesyny, zmęczeni wprawdzie, lecz za to nasyceni tylu wzniosłemi wrażeniami i uczuciem błogiem, żeśmy byli świadkami zdarzenia, które na całe życie pozostanie w naszej pamięci.

Przed rozstaniem się układaliśmy plan wycieczki naokoło Etny, lecz nic pewnego nie postanowiliśmy jeszcze. (Obwód góry u podstawy wynosi około 15 mil angielskich.

Smutne wiadomości przychodzą z miejsca klęski. Wedle telegramów, 26 i 27 maja lawa posuwa się w kilku potokach i zagraża Nicolosi. Nieszczęśliwa ludność opuszcza tę miejscowość, gdyż niebezpieczeństwo staje się coraz groźniejszem. Dzisiaj wiatr południowo-wschodni (Scirocco) aż do Mesyny popiół zanosi.

Dr A. Vornträger.

BADANIA NAUKOWE.

DZISIEJSZE WĘDRÓWKI LUDÓW.

W czasach tak skołatanych burzami wypadków politycznych i społecznych, wobec tych złowrogich zapowiedzi smutniejszej jeszcze przyszłości, jeżeli co jest zdolne wyświecić głęboko zakorzenione przyczyny tego stanu, to tylko dokładna, na pewnych cyfrach oparta statystyka. Gdyby nie ona, zabłąkalibyśmy się w labiryncie różnorodnych kwestyj, zawieszonych, jak miazmaty, w atmosferze naszego zbiorowego życia. Rządy też od lat kilkunastu kładą wielki nacisk na rozwój umiejętności, której zawdzięczamy nieraz zadziwiające wyniki i która niejeden objaw społeczny zupełnie niepostrzeżony na jaw wydobyła i wyjaśniła. Któż np. zwrócił uwagę na wzajemną, międzynarodową wymianę ludności, przeobrażającą ciągle układ naszego globu? W stosunkach międzynarodowych, podniesionych olbrzymio postępem komunikacyj, zacierających zwolna różnice miejscowe i przerabiających świat cały na widownią wspólnej pracy i dążności, zmiana miejsca pobytu przechodzi tak niepostrzeżona, jak w Londynie przeprowadzenie lokatora z jednej kamienicy do drugiej. A przecież te przesiedlania, sprowadzające żywą wymianę myśli i—co za tem idzie— wzajemne przyswajanie płodów kultury, są rodzajem barometru do poznania charakteru narodów, jeżeli je należycie zbadamy i w pewne stałe ułożymy prawidła. Zadania tego podjął się A. Randow w swojej rozprawie „O wędrówce ludów środkowej Europy“ z którą chcemy bliżej zapoznać czytelników.

Autor zaczyna od poglądu na naturę wędrówek, dokonanych pojedynczo przez ruchliwsze osobniki, okazujących jednak w ogólnym rezultacie przeobrażenia całokształtu krajów i ludności. Statystyka Szwajcaryi, Austryi i południowych Niemiec wykazała, że liczba mieszkańców, znalezionych podczas spisu na miejscu swego urodzenia, zmniejsza się ustawicznie. Zdawałoby się więc, że mamy tu ogólne prawo ekonomiczne, że dzięki podniesionej komunikacyi i współzawodnictwu handlowemu albo wskutek dążeń do zabezpieczenia bytu następuje wszędzie ruch falowy ludności. Przypuszczenie to jednak okazało się przy dalszych badaniach mylnem. Już w Prusiech bowiem liczba osiadłych na miejscu rodzinnem w czasie od jednego opisu do drugiego znacznie urosła. Opuszczenie tego miejsca nie jest zresztą wszystkim ludom właściwe. Potrzeba już pewnej samoistności i kultury, a nawet pewnego politycznego wykształcenia, aby żywioły ruchu użyć za kij wędrowny. W krajach mniej oświeconych, jak np. w Azyi, Afryce, zostaje człowiek przez całe życie tam, gdzie się urodził. W Europie ruchliwość w miastach jest o wiele znaczniejszą, aniżeli na wsi. Szczep germański zaś okazuje ze wszystkich największą pochopność do wędrówek, za nim idą słowianie, szczególnie polacy i czesi a po nich dopiero ludy romańskie. Francya, Belgia i Szwajcarya francuska objawiają wprawdzie ożywioną ruchliwość wewnętrzną, ale nie przekracza ona nigdy prawie politycznych granic tych krajów. Jeżeli zatem w obecnym składzie zaludnienia tak wybitne występują różnice w wędrówkach, musiały wędrówki te dawno się rozpocząć, skoro do tak widocznych doszły wyników. Dane statystyczne wykazują, że w Austryi, Niemczech południowych i w Szwajcaryi ubytek ludności w miejscach rodzinnych, wychodzi przeważnie na korzyść dalszych okręgów ojczystego kraju, czyli, że ruch wędrowny obraca się wewnątrz, w kierunku od gniazda rodzinnego do innych prowincyj. W Prusiech natomiast okazuje się stosunek wprost przeciwny. Liczba opuszczających ojczyznę słabnie tam coraz bardziej, ale wędrówkę dalszą odbywają osoby, które już dawniej miejsce urodzenia opuściły, a teraz posuwają się dalej. Z tego Randow wnosi, że wędrówka ludności nie zwraca się bezpośrednio do ostatecznego celu podróży, ale naprzód przechodzi stacye w własnym kraju, będące niejako ostatnią próbą powodzenia w ojczyźnie. Emigracye mają więc swoje rozmaite stadya. Prusy przebyły już pierwszą fazę, w której znajdują się dziś Austrya, Niemcy i Szwajcarya.

Przechodząc do przeciwnego zjawiska, Randow wykazuje, że ze wszystkich państw środkowej Europy, ludność austryacka odznacza się największą osiadłością, później idą Niemcy a za niemi dopiero Szwajcarya. Objaw ten, napozór niesprzeczny z poprzednim, tłomaczy się tem, że ruchliwość rośnie u źródła (w gnieździe rodzinnem) w krajach austryackich i w Niemczech południowych, tj. tam, gdzie się rozpoczyna dopiero pierwszy okres wędrówki. W Prusiech natomiast fale pielgrzymki wzniosły się bardzo wysoko i teraz dopiero spadają do dawniejszego łożyska.

Autor dowodzi, że stosunek osiadłości nie może być miarą ekonomicznego stanu kraju, składa się na to bowiem wiele rozmaitych czynników. Zdrowe stosunki klimatyczne mogą tak samo powiększyć jej rozmiary, jak brak rozbudzonego w kraju życia. Dobrobyt i zapewniona swoboda są trwałą spójnią dla tubylców i działają przyciągająco na obcych. Przedewszystkiem jednak główny wpływ na osiadłość zdaje się mieć poczucie narodowości i przywiązanie do rodzinnej strzechy, jak to okazuje np. Francya.

W Galicyi działa nadto także odosobnione położenie kraju. W Bukowinie przypływ 20,000 żydów galicyjskich, obok znanej płodności małżeństw semickich, spowodował znaczny wzrost mieszkańców, urodzonych na miejscu liczenia. Ponieważ ruchliwość mieszkańców stoi w odwrotnym stosunku do osiadłości, przeto wspomniane warunki, wiążące ludzi do stron rodzinnych, są bezpośrednią przeszkodą do emigracyi.

Chodzi teraz o dokładne oznaczenie, ilu z ogólnej sumy wędrowców pozostaje w obrębie prowincyi, ilu w granicach państwa, a wreszcie ilu wychodzi za granicę? Ażeby z tych obliczeń wysnuć stałe prawidła, trzeba uwzględnić nietylko obecny stan wędrówek, ale także ich rozwój i postęp, a wreszcie zbadać przyczyny, które z biegiem czasu tę postać rzeczy wytworzyły. Otóż we wszystkich krajach środkowej Europy, z wyjątkiem Prus, wzmaga się ruchliwość ciągle, liczba zaś tych, którzy z gniazda rodzinnego wyszli tylko do innej prowincyi, w porównaniu z wyjeżdżającymi dalej, posiada bardzo znaczną większość, bo około 30% na 37% wszystkich emigrantów.

Wędrówki nietylko wzmagają się, ale i rozszerzają się w coraz dłuższym promieniu. Na wszystkich prawie liniach środkowej Europy okazuje się przypływ nowych żywiołów, lecz nawet w Austryi, gdzie prąd ruchu nurtuje głównie prowincye, bywa co do siły zrównoważony przez wylewy w głąb państwa. Pod tym względem układa się taki stosunek: mieszkańców Europy środkowej zatrzymuje strzecha rodzinna do 6%. Z reszty znowu 81% zostaje w kraju. Z opuszczających zaś kraj, zostaje $^3/_4$ na granicy i tylko nieznaczna ilość, bo nie więcej jak 5 procent, podróżuje dalej. W tej więc dziedzinie spostrzegamy podobne zjawisko, jak podczas rzucenia kamyka na gładką powierzchnię wody. Najpierw wokoło miejsca rzutu tworzą się małe, ale silnie falujące koła współśrodkowe, które coraz bardziej się rozszerzają, tracą natomiast na sile, aż nakoniec gubią się w szerokich, lekkich ruchach falistych przestworu wodnego. Jakkolwiek w różnych krajach środkowej Europy niezupełnie te same spotykamy cyfry wędrowców, są one przecież tak w przybliżeniu zgodne, że nie można ich uważać za przypadkowe, lecz za objaw pewnej prawidłowości. Naprzód działa tu siła przyciągająca punktu wyjścia. Siła ta, która pierwiastki ruchu po opuszczeniu stron ojczystych zatrzymuje w kraju, słabnie na znaczniejszem oddaleniu od źródła, ustępując miejsca pokrewnemu i równie silnemu prawu atrakcyi, wytwarzającemu po obu stronach obwodu środkowej Europy skupienie emigrantów. Tylko, że mieszkańcy tego obwodu po przekroczeniu granic, rozpraszają się w państwach sąsiednich, mieszkańcy zaś innych krajów osiedlają się w zbitych masach na zewnętrznych jego krańcach. Z liczby 511,899 cudzoziemców, zamieszkujących Europę środkową, znajdujemy 394,465, zatem 79% na jej granicy, podczas gdy z 176,463 mieszkańców środkowej Europy, przebywających obecnie we Włoszech i Francyi, tylko 37% mieszka na granicach. Przyczyny tego zjawiska szukać należy w sile przyciągającej miast stołecznych, jak Rzym, Paryż itd.

Ruch wędrowny, przedstawiający się w formie współśrodkowych pierścieni, a słabnący w miarę oddalenia, ulega prawu falowania i za granicami Europy środkowej, tylko że w Niemczech i w Szwajcaryi rosną cyfry procentowo, od granic środkowej Europy począwszy, w tym samym prawie stosunku, w jakim pierwej malały. Zamorskie podróże niemców, konsekwentnie postępujące naprzód, przewyższają znacznie liczbę pozostających w Europie wędrowców; szwajcarowie zaś po opuszczeniu środkowej Europy rozpraszają się na całym lądzie stałym.

Ruch wewnętrzny w Europie omija świadomie strony wschodnie i północne, zwracając się najwięcej ku państwom środkowym, głównie do miast stołecznych, występuje on zaś jako trzeci czynnik atrakcyi we wszystkich trzech mocarstwach środkowej Europy. Strony wschodnie i północne, stojące na niższym stopniu rozwoju, odgrywają w tych międzynarodowych stosunkach rolę bierną. Ekonomiczne warunki niezawsze sprzyjają tu pierwiastkom obcym, wychowanym w wirze fabrycznego życia. Wyjątek stanowi Brandeburgia, okazująca silne dążenie ku wschodowi, do prowincyj polskich.

W drugim polakożerczym artykule o kolonizacyi naszych kresów (Schmoller's *Jahrbücher für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft*. Lipsk, 1886, XI.) wykazuje Randow szczegółowo prądy wędrowców w prowincyach polskich, idące ze wschodu na zachód. Prusy zachodnie (polskie) otrzymują oprócz nieznacznych przypływów z sąsiedniego Pomorza i Szląska, tylko mały zastęp wędrowców z Prus wschodnich (niemieckich), tak jak Poznańskie z obu części Prus. Natomiast wędrują z Poznańskiego masami do Szląska i Pomorza, dalej do Saksonii, Westfalii, Hanoweru i do krajów nadreńskich. W ostatnich dziesięciu latach przybyło do Galicyi i Bukowiny niemców z Austryi 17,825. Wyszło zaś z tych krajów do Austryi zachodniej 38,643, a zatem 20,818 ludzi przybyło niemcom austryackim z krajów wschodnich, głównie z Galicyi, kiedy na kresach pruskich w tych dziesięciu latach ubyło przez wędrówkę 182.027 mieszkańców, przeważnie niemców. Dodajmy do tego emigracyę do Stanów zjednoczonych, a mianowicie z Prus zachodnich 38,919, z Poznańskiego 58,178, z Prus wschodnich i ze Szląska 54,041, razem 151,138 wychodźców, także przeważnie niemców, otrzymamy niejakie wyobrażenie o wyludnieniu

naszych kresów, a z drugiej strony zrozumiemy krzyk niemców, dla których kolonizacya Bismarkowska jest tylko sprawiedliwym odwetem, przeciwdziałaniem wędrówce ze wschodu na zachód. Gdyby wyludnienie kresów odbywało się tylko na koszt żywiołu niemieckiego—jak to przedstawiają jego ekonomiści — to objaw ten świadczyłby bardzo korzystnie o nas; niestety, tak nie jest, tysiącami wędrują nasi chłopi dla zarobku na zachód, tysiacami opuszczają ojczyznę na zawsze, jadąc do Ameryki. Ale tego nie uwzględnia ani rząd niemiecki, ani półurzędowa... nauka. Ludność polska okazuje wogóle nadzwyczaj wielką ruchliwość w wędrówkach. W latach 1880—1885 przybyło na kresach przeszło 20 000 z Rosyi polaków i żydów, a podczas spisu ludności z 1871 r. w Poznańskiem znaleziono tylko połowę mieszkańców na miejscu swego urodzenia, druga połowa, w niektórych nawet okręgach $^2/_3$, emigrowała z kraju. Wędrówki te polaków z Rosyi do prowincyj polskich w Niemczech, a z drugiej strony wyludnienie kresów z żywiołu niemieckiego przerażą niemców i to jest główną, a przynajmniej za taką przez organy pruskie podawaną, przyczyną obecnej kolonizacyi kresów.

Zwykle występują w wędrówkach wszystkie trzy pobudki, wtedy zaś, gdy dwie z nich łączą się — jak np. w Austryi niższej, będącej zarazem prowincyą *stołeczną* i *graniczną*, przezwyciężają obie razem trzecią, najsilniejszą z nich siły przyciągania gniazda *rodzinnego*. Wędrówki zamorskie nie są jeszcze rozjaśnione. Statystyka amerykańska wykazuje prawie zawsze większą liczbę przybyszów z Europy, niż je podają biura statystyczne europejskie, dane zaś amerykańskie zasługują na większą wiarogodność już dlatego, że opierają się na spisie osobistym wychodźców, zmuszonych zawsze po wylądowaniu meldować się w umyślnie na to ustanowionych urzędach. Ze spisów tych czerpie też Randow swoje zestawienia o zamorskiej emigracyi mieszkańców środkowej Europy. Pierwsze najdawniejsze wychodźtwo było brytyjskie i dochodziło w drugim dziesiątku naszego wieku przeciętnie do 50,000 głów rocznie. Obok anglików stawiały nieśmiałe kroki na tem polu dawne mocarstwa morskie: Hiszpania, Portugalia, Niderlandy i po części Francya. W innych państwach ruch emigracyjny wcale się jeszcze nie objawił- Zaczyna się on w Niemczech r.1831, w Austryi zaś, Rosyi i Węgrzech dopiero około 1870 i nie przechodzi cyfry 1000. Emigracya węgierska, jakkolwiek najpóźniejsza, osiągnęła w krótkim czasie wielkie rezultaty, tak że w r. 1881 przeszła już 10,000 głów. W ogóle wzrosła olbrzymio emigracya od 1877—1881 we wszystkich krajach środkowej Europy. Od pięciu lat ostatnich widać pewną reakcyę, zwłaszcza w Austryi i Niemczech, która w Szwajcaryi następuje dopiero z r. 1883.

Co do wzajemnej wymiany ludności rozróżniamy trzy rodzaje ruchu: 1) wymiana wewnętrzna, działająca w obrębie granic każdego z państw środkowej Europy; 2) ruch zewnętrzny, tj. wzajemne międzynarodowe przesiedlenie się mieszkańców wszystkich trzech mocarstw, a wreszcie 3) ruch odśrodkowy, występujący jako przesiedlenie się ludności środkowo-europejskiej za granicę. Ruch wewnętrzny okazuje wybitną różnicę w Austryi i Niemczech, zostającą w ścisłym związku z politycznem położeniem obu państw, ale tu i tam wywołały go związki handlowe, przemysłowe i szeroko rozwinięte stosunki między ludnością niemiecką. Zewnętrzna wymiana ludności ukazuje w tablicach statystycznych następujące dane: Szwajcarya uzyskała wskutek przypływu wędrowców austryackich i niemieckich wzrost ludności o 69.214 głów, do czego przyczyniła się w większej części Austrya. Szwajcarya zwróciła Niemcom 45,785 głów. Odbyła się też między Austryą i Niemcami wzajemna wymiana ludności w liczbie 93,071 osób, lecz zaciąg austryaków do Niemiec jest o wiele większy, aniżeli niemców do Austryi. Cała środkowa Europa straciła wskutek wychodźtwa do państw sąsiednich znaczną część swojej ludności, najwięcej jednak ucierpiały Niemcy.

Ciekawym jest udział kobiet w obecnych wędrówkach. Fakt to udowodniony każdorazowym spisem ludności, że płeć żeńska co do liczby przewyższa męską. I tak wypadło r. 1880 w całej Europie środkowej przeciętnie na 100 mężczyzn 104 kobiet. Podobny stosunek zachodzi i w wędrówkach. Pociąg kobiet do wychodźtwa objawia się najsłabiej w Austryi, przewyższa zaś emigracyę mężczyzn w Niemczech o $1^1/_2$%, w krajach zaś sąsiednich o 6%. W jakiejkolwiek jednak występuje sile, wszędzie wędrówki kobiet, odpowiednio do biernej i mniej przedsiębierczej ich natury męskiej, okazują cechy od wędrówek męskich zgoła odmienne. Słabną one zaraz po pierwszym rozpędzie, cofając się odtąd przyspieszonym krokiem wstecz. W wychodźtwie za granicę objawiają znowu najmniejszą żywość austryaczki, natomiast napotykamy kobiety pruskie w całej Europie, najmniej w południowych Niemczech, skąd niemki, jakby w odwet, wychodzą do Austryi i Szwajcaryi, nie zaś do Prus. Po niemkach okazują największy popęd do wędrówek szwajcarki i francuzki, a nakoniec włoszki.

B.

LITERATURA I SZTUKA.

„JUDZTWO."

Mamy więc nową książkę w sprawie żydowskiej *). Wszystko w tej książce: punkt wyjścia, wywody, luźnie wygłaszane zdania, wreszcie tytuł wypisany srebrnemi literami na okładce czarnej — oryginalne, więcej powiem — dziwaczne. Autor jest ciekawą postacią antysemity, bo chociaż wyznaniowa strona żydowstwa stanowi przedmiot szczególnej jego nienawiści, takie same uczucie żywi on również względem chrześciaństwa i wogóle lekceważy wszelki kult religijny, jako „oparty na najniższej ludzkiej zdolności, to jest na biernej wierze." Przekonania filozoficzne p. Ż. są bezwątpienia główną przyczyną niechęci jego do judaizmu, którego strona duchowa zamyka się wyłącznie prawie w sferze pojęć religijnych. „Umysł plemienia hebrajskiego — powiada on — nie przyczynił się w niczem do postępu ludzkości, lecz zawsze ze swym zaskorupiałym fanatyzmem szedł w przeciwną stronę. Nietylko sam pozostał w stagnacyjnym stanie, lecz i tych zacofał w postępie, którzy z jego religią wchodzili w związek, jak np. wiara chrześciańska, zapożyczona od Izraela, na długie wieki zatarła pogańską naukę i cofnęła cywilizacyjny postęp w Europie." Podobne zdanie wygłasza autor kilkakrotnie, ale chociaż rozprawia o prawach socyologicznych, nie uwzględnia ich w swem dziele i uważa tryumf chrześciaństwa jako fakt przypadkowy, jako nieobjaśnione zamroczenie umysłu ludzkiego. Nie poruszałbym tego szczegółu, gdyby nie okoliczność, że p. Ż. w całej swej książce pomija przyczyny faktów, nie objaśnia powstawania pewnych zjawisk i wszystkie właściwości charakteru żydowskiego, wszystkie wypadki dziejów Izraela tłomaczy bądź to plemienną zarozumiałością, bądź wadami, wrodzonemi chyba temu narodowi, kiedy ujawnia je on w pierwszem zaraniu swego życia. Zresztą autor sam sobie niejednokrotnie przeczy. Uważając samolubny kult Jehowy za panujący w całej historyi żydów, twierdzi, że wszystkie ich nieszczęścia i prześladowania stąd pochodzą, o kilka zaś stronic dalej przekonywująco dowodzi, że do czasów niewoli babilońskiej izraelici wyznawali wielobóstwo, oddawali cześć Molochowi i Astarcie, chętnie przyjmowali wierzenia innych narodów i tylko kapłani pozostawali wierni bogu narodowemu. Ale i u nich kult Jehowy pomięszany był wówczas z innymi, właściwymi ludom semickim. Nad arką, według autorów późniejszych, znajdowała się para cherubinów w połączeniu erotycznem. Cześć Astarty była również bardzo rozpowszechnioną. Dopiero po śmierci Salomona religia Jehowy bierze górę w królestwie Judzkiem i w 9 wieków po śmierci Mojżesza, za panowania Jozyasza, arcykapłan Helhiasz pisze księgę, która później dołączoną została do czterech innych, ułożonych przez Ezdrę i dziś znaną jest pod nazwą Deuteronomium. Właściwa jednak religia judejska wyrabia się zaledwie w czasach niewoli, kiedy Ezdra układa t. zw. później księgi mojżeszowe, a prorocy głoszą mesyanizm.

P. Żukowski tak jest nieprzychylny dla judaizmu, że nawet nie ocenia należycie wytworzenia pojęcia boga niewidzialnego, owszem, uważa raczej to jako dowód niższości umysłowej hebrajczyków. Widocznie słabo zna on dzieje religij, kiedy istnienie boga narodowego, groźnego dla innych ludów poczytuje za szczególną właściwość wiary żydowskiej. Wszystkie religie starożytności są narodowemi, judaizm może mniej nawet był wyłącznym, kiedy potrafił zdobyć się na prozelityzm. Grek tak samo nienawidzi obcoplemiennych ludów, jak i hebrajczyk. Pomiędzy ludami sąsiednimi, lub pozostającymi w związku zależności, odbywała się wprawdzie wzajemna wymiana kultów, ale i hebrajczycy, jak to autor wykazuje, chętnie przyjmowali „cudzych bogów." Dlaczego zaś w niewoli babilońskiej wyrobiła się wyłączność religijna i mesyanizm, ani p. Ż., ani czytelnik polski nie potrzebuje objaśnień, bo w niedawnych dziejach umysłowości naszej znajduje podobny zupełnie objaw. I my uważaliśmy się za lud wybrany, mieliśmy swoich proroków, oczekiwaliśmy mesyasza i wierzyli w mściwego Jehowę, który „karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute — wysadzi tę ziemię, jak Ordon redutę."

Autor dzieli dzieje izraelitów na trzy okresy: wielobóstwa, Tory i Talmudu. Okres drugi, w którym wyrabia się właściwie judaizm, należy do najlepiej opracowanych, widać tu bowiem znajomość prac poważnych pisarzy w zakresie krytyki biblijnej. Ciekawe są również wiadomości o sektach, szkoda tylko, że p. Żukowski nie objaśnił przy tej sposobności powstania chrystyanizmu, który, słusznie zresztą, uważa pod pewnym względem jako dalszy ciąg judaizmu.

Wiadomościom o talmudzie dowierzać zbyt nie możemy, autor bowiem nie mówi czy są one owocem jego studyów, czy też czerpał je z drugiej ręki i z jakiej. Kiedy w kreśleniu dziejów poprzedniego okresu opierać się mógł na umiejętnej krytyce Renana i poważnych komentatorach Biblii, przy przedstawieniu zasad talmudu nie miał takich wzorów. Rohling, którego nazywa „poczciwym i śmiałym pracownikiem," jest po prostu nieukiem i namiętnym pamflecistą. W ogóle p. Żukowski grzeszy niekrytycznością, nie umie odróżniać rzeczy ważnych od drobiazgów, wikła się w erudycyi, nie zna lub nie uwzględnia zasad umiejętnego badania. Dosyć

*) Edward Żukowski. *Judztwo* Kraków.

przytoczyć np., że mówiąc o przewadze żydów nad chrześcianami, wylicza szeregiem następujące jej przyczyny: religia, wydatki (tj. oszczędność), oszustwo, dziecinne zabawki, kupowanie tylko u swych jednowierców, mowa, używanie wódki, wychowanie żydowskie, konkurencya handlowa, społeczny ustrój żydowski, specyalny budżet judejski, bractwa, czyli stowarzyszenia, płodność i... pantoflową pocztę! Nie wiadomo, po co opisuje na 8 stronicach potrawy żydowskie, przy czem darować nie może izraelitom, że obrzydliwy cymus uważają za przysmak i że jedzą mięso za nadto wysmażone lub wygotowane. Autor podaje w tym rozdziale śmieszny opis własnych doświadczeń. Brał on rzodkiew, cebulę i pieprz, prażył je w zamkniętem naczyniu i w ten sposób otrzymywał „właściwy żydom zapach," tak, że gdy otworzył flaszeczkę z preparatem, obecni wołali: „ach, jak tu śmierdzi żydem!" W obronie obyczajowej strony życia żydowskiego znajduje się wiele ciekawych szczegółów, ale ponieważ nie wiemy, skąd autor czerpał, nie możemy dawać im zupełnej wiary. Chyba tylko sami izraelici mogliby ocenić, o ile spostrzeżenia p. Żukowskiego są trafne i zgodne z rzeczywistością.

Jest w dziele tem jednak strona, na którą p. Ż. mimochodem tylko zwraca uwagę, a która według mego, skromnego zdania, stanowi nerw główny sprawy żydowskiej; mówię tu o głęboko sięgających różnicach rasowych, czyli, jak wyraża się p. Żukowski, o „wyższości rasy aryańskiej nad semicką." Właściwie nie chodzi o wyższość, lecz o różność. Żydzi nie są wyżsi lub niżsi od nas, gorsi lub lepsi — oni tylko są inni, różni nie temi jedynie właściwościami, jakie wyrabia odmienne położenie społeczne, kultura, obyczaje — ale całym składem swego umysłu i charakteru, o ile ten zależy nie od zewnętrznych, ale od wewnętrznych, antropologicznych czynników. Rasa żydowska nie jest dziś czysto semicką, jak to sądzi p. Żukowski, wchłonęła ona w siebie mnóstwo różnorodnych pierwiastków i nietylko w Spinozie, lecz i w arendarzu z Daszkówki płynie już nie „kropelka krwi" aryjskiej lecz może tysiące kropel; pierwiastki te wszakże obce zasymilowały się i wytworzyły typ rasowy bardzo jednolity, zwłaszcza pod względem duchowym. Izraelici wydali wielu znakomitych ludzi, umysłowość plemienia tego posiada wiele stron świetnych i silnych, jest ona jednak odmienną od umysłowości ludów europejskich. P. Żukowski zaznaczył właściwe jej cechy, ale zaznaczył je bardzo pobieżnie, chociaż w ogólnych rysach zgodnie ze zdaniem Renana: są to wielkie zdolności dyalektyczne i, co zwykle idzie z niemi w parze, brak oryginalności, brak siły twórczej. Pomimo wszelkich warunków uniewinniających pozostanie faktem, że izraelici nie dokonali żadnych wynalazków, że może, oprócz Spinozy, nie wydali żadnego samodzielnego myśliciela. Marks, który bez zaprzeczenia jest genialnym dyalektykiem, w teoryi swojej z wielką siłą i talentem rozwija tylko myśli, które wyraźnie znajdują się już u Ricarda. Nie chciałbym, żeby słowa moje źle zrozumiano, mianowicie w znaczeniu obniżania zdolności ludu, którego udział w dorobku cywilizacyjnym nie jest najmniejszym. Zaznaczam tylko, że w umysłowości izraelitów pewne cechy występują silnie, innych brak jej prawie zupełnie. Tak samo umysłowość aryjska ma pewne cechy dodatnie i pewne braki, które uświadomić sobie i objaśnić należy. P. Żukowski przytacza dowcipnie wybrany przykład. Uczeni talmudyści od wieków zastanawiają się nad tem: czy można jeść jajko, które kura zniosła w szabas — i spór ten w swoim czasie był przyczyną podziału uczonych na dwa wrogie stronnictwa. Autor dla porównania podaje legendę indyjską o jajku Brahmy, w której zawiera się śmiała próba wytłomaczenia genezy życia organicznego lub dociekania scholastyków greckich, co było pierwej: kura, która zniosła jajko, czy jajko, które wydało kurę.

Pomimo nienawiści dla judaizmu p. Żukowski nie jest bezwzględnym antisemitą. Przekonania swoje wyraża on na str. 203 tak: „Teraźniejsza cywilizacya europejska, ani życzy, ani proponuje żydom, ażeby oni swą wiarę przenieśli z oczekiwanego przez nich Mesyasza na mesyanizm już wykonany przez ich współrodaka Jehoszjuach z Nazaretu," ale żąda tylko zrzeczenia się samolubnej wyłączności i nienawiści do innych ludów. Autor jednak pamiętać winien, że postęp polega nietylko na wyzwoleniu się z pod jarzma przesądów religijnych, lecz rozciąga się także do dziedzin innych — społecznej i ekonomicznej.

Wogóle *Judztwo* jest tworem umysłu dziwacznego, bezkrytycznego, który chętnie szerszych uogólnień szuka, ale dla braku metody umiejętnej znaleźć ich nie może. Pracowicie zebrane szczegóły nie mają wartości, bo nie wiadomo, skąd je autor wziął, wierzyć więc im musimy tylko na jego słowo, które nie wystarcza, nie dlatego, żeby dobra wiara p. Żukowskiego była podejrzaną, owszem, jest on szczerym i uczciwym, ale dlatego, że ulega fanatyzmowi swojego rodzaju.

J. P.

LITERATURA FRANCUSKA.

Archives Slaves de Biologie, dirigeés par Maur. Mendelssohn et Ch. Richet. Paryż, 1886.

W przedmowie wydawcy wyjaśniają powody, który skłoniły ich do pomienionej pracy. Badania naukowe narodów zachodnich mianowicie, niemców i francuzów, mają wolny wstęp do bibliotek i pracowni całego świata, gdy tymczasem badania słowian giną rozproszone. Ażeby brakowi temu zaradzić, autorzy postanowili zjednoczyć prace słowian z zakresu biologii, wydając je w regularnych odstępach czasu, tłomaczone bądź przez samego autora, bądź też na miejscu, jeżeli wartość ich uznaną zostanie za odpowiednią. Pomieszczaną będzie również dokładna bibliografia prac Słowiańszczyzny z zakresu biologii i medycyny, jak również z fizyki i chemii.

Następują prace oryginalne z dziedziny nauk przyrodniczych; autorzy: Fritsch, Godlewski, Počta, Wierzejski; anatomii fizyologii: Danilewskij, Lesshaft, Nawalichin, Kowalewskij, Mares; medycyny: Botkin, Kurłow, Obrzut; dalej idzie przegląd krytyczny prac Botkina, Przybysławskiego Kopernickiego i Sieczenowa.

Czy pismo peryodyczno-naukowe, oparte na sztucznych podstawach, zdoła wypełnić swój program? Kwestya to chyba niezbyt łatwa do rozwiązania.

Sądzimy, że nauki pokrewne winny się łączyć z sobą tylko pod godłem czysto naukowem; słuszne czy niesłuszne dążenia narodowościowe nie znajdą dostatecznej podpory i będą musiały upaść, pozostawiając za sobą tylko pamięć dobrych chęci.

Zwracamy uwagę, że program ten jest obszarem wiedzy podzielonym na drobne części, z których każda jest już poważną nauką, mającą specyalne organa prasowe; czy można więc oddzielając np. chemię rosyjską łączyć ją pod jedno berło z botaniką czeską?

Dr O. Bujwid.

LITERATURA WŁOSKA.

Perolari Malmignati. **L'Egitto senza Egiziani.** Medyolan, 1886.

Autor, konsul włoski w Kairze, miał sposobność poznać dokładnie kraj, który opisuje, a przytem znanym jest już w literaturze z powodu kilku ważnych utworów, jak: podróż po Syryi i dramatyczny opis Peruwii oraz jej wstrząśnień politycznych.

Zdając sprawę ze stanu obecnego Egiptu, zajmuje się głównie kwestyami społecznemi, ekonomicznemi i politycznemi w sposób bezpretensyonalny, a jednak wierny i ujawniający głęboką znajomość stosunków. Mniema on, jak to już sam tytuł książki wskazuje, iż egipcyanie wcale nie dorośli do rządów konstytucyjnych, i że ci, co pragną ukształtować Egipt na wzór państw europejskich, podlegają dziwnemu złudzeniu. Ten surowy sąd Malmignati uzasadnia stanem umysłowym krajowców; według niego są oni zupełnie niezdolni do zrozumienia jakiejbądź abstrakcyi, w języku ich nawet nie ma wyrazów, odpowiadających pojęciom ojczyzny, państwa, więc i samych tych pojęć brak. Oprócz tego autor zwraca uwagę, że islamizm, nie wytwarzając rodziny i spychając kobietę na podrzędne stanowisko, sprzyjać nie może rozwojowi umysłowemu i stanowi jedyną spójnię i siłę społeczeństwa, skazanego tem samem na zastój konieczny. Jako dotykalny dowód swoich twierdzeń przytacza rozmowę z Arabi basą, który widząc obraz, przedstawiający Włochy pod postacią pięknej kobiety, spytał, czy to Madonna? — a gdy mu powiedziano, że to Włochy, odparł: „Ma śliczne kształty, ale nie rozumiem, co ta postać niewieścia może mieć wspólnego z krajem." Drobna ta z pozoru okoliczność rzuca jednak żywe światło na umysłowość egipcyan.

Siro Corti. **Le provincie d'Italia studiate sotto l'aspetto geografico e storico.** Rzym, 1886.

Zjednoczenie Włoch, rozbitych od wieków na odrębne państwa i państewka, choć dokonane politycznie, wymaga jeszcze bardzo wiele pracy i usiłowań, zanim stanie się istotnym faktem, zanim obywatele Neapolu, Turynu lub Medyolanu będą się czuli rzeczywiście obywatelami jednej wielkiej ojczyzny. Ażeby to zjednoczenie przyspieszyć, koniecznem jest dokładne poznanie każdej z osobna prowincyi i tej potrzebie czyni zadość wydawnictwo Cortiego, podzielone na broszury, z których każda zawiera etnograficzny i geograficzny opis prowincyi, jej dzieje, stan obecny, potrzeby, oraz szczegółową mapę. Jest to wydawnictwo o wielkim zakroju; dotąd ukazało się dopiero pięć poszytów, zawierających opis pięciu prowincyj: Florencyi, Pizy, Liworna, Lucci i Massa-Carrary.

Giovanni Mestica. **Le poesie di Giacomo Leopardi con versi inediti e la vita dell'autore** Florencya, 1886.

Giuseppe Chiarini. **Le poesie di Giacomo Leopardi.** Florencya, 1886.

Jednocześnie ukazały się dwa wydania największego z nowożytnych włoskich poetów, z dodaniem poezyj pośmiertnych i studyów nad tym najrozpaczliwszym z pomiędzy wszystkich zrozpaczonych naszego stulecia. Dodajmy jeszcze do tego zeszłoroczne wydanie neapolitańskie, dokonane staraniem prof. Rafaela Bonari, z wyczerpującą rozprawą Franciszka de Sanctis, a będziemy mieli dotykalny dowód zainteresowania, jakie budzi obecnie Leopardi, on, który za życia był tak mało oceniony. Pół wieku dobiega od śmierci wieszcza-filozofa, a przecież poezye jego nie

nie stracił'y ze swej świeżości, bo wieje z nich nieśmiertelna młodość, nieśmiertelne cierpienie, obleczone w nieporównanie piękną formę.

Przy tej sposobności godzi się zaznaczyć, że ani jeden utwór Leopardi'ego nie został przetłomaczony na nasz język i że jest on u nas stokroć mniej znany, niż poeci odrodzenia, a przecież odpowiada zupełnie nastrojowi chwili swym głębokim pesymizmem, niewiarą, miłością swobody i rodzinnego kraju.

Riccardo Carafo d'Andria. **Ettore Caraffa Conte di Ruva.** Rzym, 1886.

Szlachetna postać jednego z bohaterów rewolucyi neapolitańskiej w r. 1799 ukazuje się w tej monografii z całą prawdą. Należała mu się też oddawna ta spóźniona rehabilitacya, gdyż był niejednokrotnie oczerniany przez służebniczą historyę. Poezya oddawała mu wprawdzie sprawiedliwość w dramatach księcia Prota da Maddaloni i Piotra Cossy, dramat jednak nie zastąpi prostego opowiadania faktów. A to podjął teraz dopiero jeden z członków rodziny i spisał dzieje swego przodka od pierwszych lat dzieciństwa aż do chwili, kiedy odrzucając z pogardą zasłonę, która miała zakryć przed jego oczami mściwy miecz katowski Burbonów, oddał pod niego głowę ze spokojem żołnierza i męczennika.

W. M.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nuda jednostajności. — Odmienny głos p. Polewki w *Gazecie warszawskiej*. — Trudność porozumienia się z idealistami. — Matejko i Siemiradzki. — Jedyny i niejedyny. — Lew z komedyantami na grzbiecie. — Kraszewski i niemcy.— Udana zgroza i przydatna sumka. — Bezsilność aniołów. — Ludojady. — Żywi wobec nieboszczyków. — Odsłonięcie pomnika dla Szujskiego. — Parowanie mózgów.

Gdybym był mnichem, modliłbym się codzień, gdybym był monarchą, ofiarowałbym, jeśli nie całe królestwo, to przynajmniej jego część nieraz za nową myśl; ponieważ zaś jestem tylko zwykłym kirgizem literatury, więc często deklamuję sobie:

Duszno, ciasno, jak w grobie
. . . .
Mnie tu nuda zabije.

Jest to nuda jesiennego wieczoru. Niebo w szare chmury obleczone, przenikliwy chłód wciska się wszystkiemi szczelinami do domu, a ty siedzisz w mroku i chwytasz słuchem miarowe spadanie kropel z dachu, które co chwila przygłusza wiatr, wyjący w kominie lub otrząsający z drzew resztki zżółkłych liści. Nie pragniesz słońca, bo to żądanie za śmiałe, ale przynajmniej trochę ognia, któryby ogrzał i rozświecił ciemną i zimną stancyjkę, powitałbyś radośnie bodaj skrzeczenie świerszcza, któryby rozweselił dokuczliwą ciszę. Tak powitałem artykuł p. Cezara Polewki p. t. „Wędrówki po pracowniach“ w *Gazecie warszawskiej*. Rzadko nawet w naszej prasie zdarza się spotkać coś równie opacznego, coś równie słusznego na wywrót; a jednakże znudzony rytmicznie spadającemi kroplami i dmuchaniem wiatru w kominach dziennikarskich, spożyłem tę polsko-włoską lemieszkę ze smakiem. Autor bowiem, uczuwszy potrzebę objawienia „odwagi cywilnej,“ rozdarł nasze zabójcze unisono rozdźwiękiem fałszywym, ale wprowadzającym jakąś nową nutę. Porównywając Matejkę z Siemiradzkim usiłuje pierwszego postawić znacznie niżej piedestału, na którym go opinia powszechna umieściła, drugiego zaś tak wysoko, że nad jego turbanem jest już „tylko gwiazda.“ Mistrz krakowski — według p. Polewki—„nie miewa tylu skrzydlatych (?) chwil, tylu błyskawic poezyi w swych dziełach,“ które nie odbijają „blasków zachwytnych,“ „wzruszenia i zapału.“ „Stoją one nierządem, jak Polska za Sasów, brak im także ładu i składu, brak nadewszystko zgody i kleju między postaciami“; „panują tylko jednostki, stojące przypadkiem, czyli też *za karę* boską obok siebie, ale niezestawione i niezwiązane dość między sobą artystyczną *konfederacyą*... Skrzydlaty anioł nadziemskiego piękna i poezyi nie drużbuje cudotwórcy i piór swych nie roztacza nad jego wskrzeszonymi.“ Naród najartystyczniejszy, włosi „milczą głęboko w odpowiedzi na nasze panegiryki“ (dla Matejki) a niekiedy nawet „podnoszą ramiona“ — jak np. przed *Hołdem pruskim* i *Sobieskim*. Natomiast Siemiradzki „posiada właśnie to, czego Matejce nie dostaje, dodatnie strony jego stron ujemnych, *obok tego*, czem mistrz krakowski celuje.“ „Za nim opinia publiczna (europejska) oświadcza się jednomyślnie.“

Najtrudniejszą jest walka z idealistą i frazeologiem. Niepodobna bowiem jego rozumowania uchwycić, bo każdy wyraz wyślizguje się z rąk jak piskorz; gdy mu przeciwstawisz argument, wywód logiczny, on ci odpowie jakąś „chwilą skrzydlatą,“ jakimś „odblaskiem zachwytnym,“ jakimś „aniołem drużbującym cudotwórcy,“ czemś, czego ani ująć, ani pojąć, ani obalić niepodobna. Gdy się spotka dwu idealistów, umieją oni jakoś porozumieć się: jeden powie: „nadziemskie piękno poezyi,“ drugi — „artystyczna konfederacya“ i odrazu wiedzą, o co im chodzi. Innym jest spór idealisty z pozytywistą: jeden siedzi w balonie, drugi stoi na ziemi, chcą się mocować, ale żaden przeciwnika nie dosięga. Przyznaję też, że z temi „skrzydlatemi chwilami“ i „zachwytnymi odblaskami“ p. C. Polewki poradzić sobie nie mogę. Widzę tylko, że on uważa naszą cześć dla Matejki za nierozważne bałwochwalstwo, krzywdzące wyższego nadeń — Siemiradzkiego. Szanując całą „odwagę cywilną“ krytyka, wyznaję, że gdybym codzień bywał na obiedzie u twórcy „Świeczników chrześciańśtwa“ i zaliczał się do jego przyjaciół a wrogów Matejki, nigdy bym nie śmiał takiego zdania wygłosić, bo nigdy *vox populi* nie wydał mi się bardziej *vox dei*. Sądzę nawet, że dwu tych malarzów porównywać z sobą nie należy. Matejko w przeszłości i teraźniejszy jest jeden, Siemiradzkich — setki. Jeden nie przez swą wielkość, ale przez swą oryginalność. Pierwszy z nich przypomina mi Wenecyę, drugi — każde miasto stołeczne. Kto ogląda Wrocław, Berlin, Wiedeń, Drezno, znajduje różne osobliwości, ale więcej podobieństw. Tylko Wenecya niepodobna do żadnego innego miasta. Takim jest również Matejko. W największej galeryi, zawieszonej tysiącami obrazów, on do widza wyskoczy natychmiast, wyodrębni się, odetnie od sąsiedztw. Żaden jego utwór nie potrzebuje podpisu i nigdy nikomu przez pomyłkę przyznanym nie będzie. Siemiradzkiego ogół poznaje po objaśniających tabliczkach. Jest to znakomity akademik, a więc mający w malarstwie rozległe pokrewieństwa. Matejko nie posiada w niem ani ojca, ani brata, ani nawet syna. Siemiradzki tylko potęguje środki i pomysły znane, Matejko — tworzy nowe. W całej dziedzinie ducha ludzkiego żaden geniusz żyjący nie wyrównywa mu oryginalnością. Zdaje się, że gdyby od góry do dołu płótna przeciągnął pędzlem prostą smugę, byłaby onaniezwykłą. Jeżeli kto uległ w kraju przecenieniu, jeżeli kogo zagranica licytuje *in minus*, to właśnie Siemiradzkiego. Matejko dopuszcza się wielu artystycznych uchybień, ale nie puścił w świat ani jednej roboty pospolitej, zwykłej, szablonowej; tymczasem Siemiradzki namnożył takich robót wiele. Wszystkie zaś jego obrazy razem wzięte nie zawierają tyle energii, znamienności, siły, życia, oślepiającego kolorytu, co którakolwiek z większych prac Matejki. Ten lwem pozostaje zawsze. Czasem siedzi na tym lwie stańczyk, małpka krakowska, jezuita, kramarz ze szkaplerzami, ale to jego mocy nie zmniejsza. Daremnie więc p. Polewka, otworzywszy przed nami rzymską pracownię Siemiradzkiego, ukazuje jej cuda i każe Matejce stać z odkrytą głową; z tej głowy wieńca wawrzynowego nikt nie zdejmie i nikt takim samym twórcy *Elegii* i *Pogoni za motylem* nie ozdobi, chociażby ciągle zdobywał się na „odwagę cywilną“ i zyskał poparcie wszystkich „drużbujących aniołów.“

Kiedyś Kraszewski w przystępie złego humoru zrobił zamach na Matejkę, ale strzał nawet z tak wprawnej ręki chybił. Sędziwy pisarz spostrzegł wkrótce swój błąd i dziś może żałuje, jeśli o nim pamięta. W kłopotach bowiem, w których brodzi od lat paru, musi dużo myśleć o sobie. Z Włoch przejechał do Francyi a do więzienia w Magdeburgu nie wraca, zrzekając się 20,000 marek kaucyi. Gazety niemieckie i to właśnie te, które wartość łatwo zarobionych marek czuć by powinny, oskarżają go o wiarołomstwo. Kraszewski broni się, że słowa honoru nie zastawił, jako rękojmię złożył tylko pieniądze, które przez wzgląd na swe podwerane zdrowie traci. Wie on lepiej od nas, na jakich warunkach zyskał czasowe uwolnienie; zdaje mi się jednak, że ów gniew gazet niemieckich jest bardzo udany. Niemcy są zbyt narodem praktycznym, ażeby woleli dwuletnią kozę nawet tak znakomitego człowieka, niż 20,000 marek. Złorzecząc głośno, dziękują mu oni po cichu za sowity napiwek. Gdyby wrócił do twierdzy i odsiedział karę, kwaśno skrzywiłyby się te szlachetne twarze, które dziś dyszą oburzeniem. 20,000 marek! Za taką sumę możnaby w Niemczech kupić sprawiedliwość, a nie dopiero pobłażanie. Świeżo sejm pruski uchwalił premię dla „działaczów“ szkolnych, rząd pieniędzy potrzebuje a nowych podatków wycisnąć nie może, wszelki więc zasiłek mu się przyda.

Podczas rozpraw nad mieczami ognistymi, którymi ks. Bismark ma wypędzać polaków, rzekł Windhorst: gdyby tu anieli zstąpili z nieba, nie zmieniliby tego wyroku zagłady, tem mniej zmienić go nie mogą nasze rozumowania. Trafna ta uwaga nasuwa się ustawicznie przy czytaniu gazet nam wrogich. Zdaje się, że znamiona gwałtu leżą na wierzchu, że je widzi każdy, że niesprawiedliwość wyłazi wszystkiemi szparami jakiegoś rozkazu, że krzywda tryska krwawym zdrojem, że pod nią nikt uczciwy swego kubka nie podsunie i toastu na cześć cywilizacyi nie wzniesie— nieprawda, znajdą się setki, tysiące ludzi, którzy zatkają usta rozumowi i sumieniu, kopną moralność, obałamucą naukę i wyryją na granitowych słupach prawa bezprawia jako przykazania święte. Gdyby mi kto gardło podrzynał w imię tego tylko, że ma nóż ostry i rękę silną, nie czułbym do niego takiej odrazy, jak wtedy, gdyby mi przedtem wytłomaczył bez wiary w własne słowa, że bogowie wezwali go do zrobienia im ze mnie tej ofiary. Ten płaszcz obłudy zacnemi godłami wyszyty, jest jeszcze wstrętniejszy, niż nóż najostrzejszy. Aniołowie z nieba nie zstępują, ale i oni nie zażegnaliby nieprawości ludzkich. Człowiek dziś rozżarł się na człowieka bardziej, niż tygrys na tygrysa; jeżeli go nie wstrzymuje od napadu słabość lub sytość, inne pęta łatwo się rwą.

A może my istotnie przeznaczeni jesteśmy na pastwę i tego tylko warci? Można

w to uwierzyć, czytając nekrologi i mowy sławiące nieboszczyków. Po każdej takiej mowie przychodzi mi zawsze jedna myśl: skoro ten umarł, to my żywi powinniśmy wszyscy wleźć w armatę a jednego zostawić, któryby ją podpalił i wystrzelił na imieniny dyabła. W Tarnowie wystawiono pomnik Szujskiemu. Wiedziałem, że był to człowiek uczony i zacny, ale dopiero z mów na tej uroczystości wygłoszonych dowiedziałem się, że my wszyscy jesteśmy tylko mizernymi robakami na jego grobie. Jeżeli nas hr. Tarnowski, z Koźmianem i Bobrzyńskim, spadkobiercami jego idei nie uratuje, zginiemy jak kępa perzu, który pole zanieczyszcza i ręką Opatrzności będzie uprzątnięty. Taka jest ewangielia stańczykowska na dobę dzisiejszą. Przeżegnawszy się dziękuję Bogu, że mi nie dał mocy cudotwórczej, bo niezawodnie wskrzesiłbym Szujskiego z martwych pod warunkiem, że będzie uprawiał niwę historyi polskiej, ale wędki politycznej nawet nie trąci. A tu on jest wysławiany jako znakomity polityk. Gdyby ta pochwała nie wyszła z ust stańczyków, przypuszczałbym, że podczas odsłonięcia pomnika musiało być w Tarnowie bardzo gorąco. Ale tyś nie winien temu parowaniu mózgów zacny duchu uczczonego badacza!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Przygody cyklistów. — *Gazeta świąteczna.* — Kwestya prawna. — Przywilej występku. — Jubileusz. — Dwie miary. — Pojednanie. — Niewczesny żart.

Trudne są i niebezpieczne pierwociny wszelkich usiłowań cywilizacyjnych i doświadczyli tego nasi „dzielni cykliści“ w pierwszych zaraz wycieczkach za rogatki miejskie. W Radomskiem chłopi gonią z kijami w ręku niewinnych sportsmanów, w Dąbiu, w Kaliskiem zjawienie się jeźdźca na welocypedzie przyjęto jako oznakę przyjścia antychrysta, wskutek czego powstał taki popłoch w kościele, że ludzie o mało nie podusili się. Fakty te dały już powód kilku drukowanym pozytywkom do odegrania znanych kawałków o przesądach i ciemnocie ludu. Zdaje mi się jednak, że oprócz baśni o antychryście, w nienawiści chłopskiej do niewinnych welocypedów kryją się i inne pierwiastki. Włościanie boją się np. tych wózków, jako przewidywanych współzawodników, jak lękali się kolei żelaznej, że im odbierze wszelkie zarobki. Zresztą chłop nietylko nie zna pańskich zabawek, ale nie rozumie nawet ich celu i sensu. Pamiętam, jak śmiesznemi wydawały się włościanom ćwiczenia gimnastyczne i po długich rozprawach wnioskowali zwykle: wziąłby panicz kosę i pomachał ze dwie godziny, to jeszcze lepszy byłby skutek. Takich „ciemnych ludzi“ trudno przekonać, że machanie przez kilka godzin z rzędu nogami bez żadnego celu może mieć sens jakiś i służyć za rozrywkę. Zdanie to podziela wprawdzie Spencer, który również sądzi, że wszelkie ćwiczenia wioślarskie, gimnastyczne itp. z jednakową korzyścią dla zdrowia możnaby zastąpić pracą pożyteczną: rąbaniem drzewa, robotami w polu i ogrodzie; ale Spencer, jak wiadomo, jest „materyalistą,“ a chłopi są ciemni i także materyaliści, ktoby więc na ich głupie sądy uważał! Warto jednak, żeby jaki matematyk obliczył w przybliżeniu: czego możnaby dokonać tą ilością siły muskułów, która marnuje się w nieprodukcyjnych ćwiczeniach?

Są inne jeszcze rzeczy, których chłopi, ani rusz, nie mogą zrozumieć, chociażby np. korzyści ze zniesienia służebności. Pochodzi to stąd zapewne, że nie czytają *Gazety rolniczej*. Za to *Gazeta świąteczna* tłomaczy zaślepionym młodszym braciom, że należy koniecznie regulować służebności. Młodsi bracia słuchają, niektórzy donoszą nawet, że dzięki Bogu i światłej radzie ks. proboszcza doszli do zgody z dziedzicem, ale nagle tę miłą harmonię mąci doniesienie, że włościanie zbiorowo najechali las dworski, lub że zabronili dziedzicowi wywózki sprzedanego drzewa, przyczem, jak naiwny korespondent opowiada, „kijami i siekierami bili, że aż brzęczało.“ Nie ma prawie tygodnia, żeby dysonans taki nie przeciął braterskich stosunków dworu z chatą. Wyjaśnieniem spraw podobnych zająć się winna *Gazeta świąteczna*; bez względu na zdanie o korzyści zniesienia służebności każdy radby posłyszeć, co też chłopi myślą o tem, należy więc dać im możność wygłoszenia swoich argumentów *). Raz tylko *Gazeta* zamieściła głos taki, ale sfukana zamilkła i teraz nawołuje tylko do dobrowolnego załatwiania sporów. A przecież nietylko w tej sprawie, ale i w innych, dobrze byłoby, gdyby włościanie sami głos zabrali. *Gazeta* pomieszcza w każdym numerze kilka korespondencyj, dobra to rzecz, tylko że wybór nieszczególny. Po większej części są to dytyramby dla księży proboszczów za to, że odnowili kościół, lub kazali ogrodzić cmentarz, lub też niesmaczne pochwały dla pisma i jego redaktora. Te ostatnie wypada zawsze usuwać, każde bowiem pismo porządne unika tego rodzaju reklamy. Zamiast czczych i niepotrzebnych wiadomostek, zamiast moralnych kazań należy raczej otwierać miejsce wszelkiego rodzaju zdaniom o istniejących stosunkach wiejskich, chociażby poglądy te były nawet fałszywe, byle wychodziły wprost od czytelników wiejskich lepiej je ujawniać, aniżeli sztucznie tłumić, gdyż wtedy tylko można je prostować i oddziaływać na ich zmianę. Kierownik *Gazety świątecznej* jest wytrawnym pisarzem ludowym i zna dobrze swych czytelników, potrafi więc, jeżeli zechce, skłonić ich do szczerego wypowiadania swych myśli. Zresztą łatwo może nauczyć swych korespondentów, o czem powinni pisać. Dotychczas nie ma u nas organów, poświęconych obronie interesów pewnych warstw społecznych, każda chce mieć jakieś ogólno-narodowe cele i dlatego nie posiada zupełnego zaufania czytelników. Nawet pisma szlacheckie, czy też, jak dziś mówią, ziemiańskie, najbardziej wyraźne, nie mają odwagi przyznać się, że bronią interesów pewnej grupy, lecz starają się wmówić w czytelników, że na pierwszym planie stawią dobro ogółu, którego jednak określić nie potrafią. *Gazeta świąteczna* przeznaczona jest dla włościan, powinna więc mieć na oku tylko sprawy, dotyczące tej warstwy społecznej, nie dbając o to, czy dążenia jej i poglądy podobają się lub nie inteligencyi. Wtedy pismo opierać się może na własnych czytelnikach i nie szukać protekcyi dworu lub plebanii.

W *Gazecie Warszawskiej* znajdujemy artykuł, który pisma ludowe przedrukować powinny dla informacyi swych czytelników, chociaż wnioski autora mogą się niepodobać z wielu, skąd inąd słusznych nawet względów. Chodzi tu o t. zw. kradzieże leśne i szkody na pastwiskach; sprawy te rozstrzygają zwykle sądy gminne, tymczasem autor, widocznie biegły prawnik, dowodzi przekonywująco, że w większości wypadków są to po prostu nadużycia prawa służebności i jako takie skarżone być powinny do komisarzy włościańskich. Ci ostatni dopiero, jeżeli w danym wypadku dopatrzą się cech przestępstwa, oddają spór sądowi. Tymczasem dzisiaj sprawy tego rodzaju, które mogą tylko pociągać za sobą wynagrodzenie szkód i strat, lub kary administracyjne, sądzone są często jako kryminalne z wyraźnem pogwałceniem litery prawa i zasad słuszności.

W Mińsku od 1 kwietnia wychodzić zaczęło pisemko w języku rosyjskim p. tyt.: *Minskij Listok*, które — nie wdając się w rozstrzyganie sporów narodowościowych i szczepienie zasad polityki „samobytnej“ — stara się poruszać zagadnienia miejscowe. Niedawno *Listok* podjął myśl urządzenia w okolicy Mińska osad rolnych dla małoletnich przestępców. Projekt ten podobał się bardzo korespondentom kilku pism warszawskich i znalazł gorące poparcie. Nie mam nic przeciw zakładaniu osad karnych, chciałbym tylko zwrócić uwagę zbyt gorliwych opiekunów małoletnich przestępców, żeby nie przesadzali w zapale i nie robili występku pewnego rodzaju przywilejem. Ten sam *Listok* powiada, że w Mińsku istnieją zaledwie trzy szkoły dla dzieci, że w fabrykach i warsztatach miejscowych małoletni robotnicy strasznie są wyzyskiwani i demoralizowani. Otóż czy nie należałoby pierwej pomyśleć o dzieciach opuszczonych i biednych, dać im zajęcie i naukę, uchronić je od zepsucia, a później dopiero wziąć się do zakładania osad karnych, inaczej bowiem małoletni złodzieje i oszuści będą mieli pewne przywileje w porównaniu z dziećmi uczciwemi, gdyż dostaną darmo utrzymanie i naukę. Nie pierwszy to raz filantropia nasza zaczyna od końca; niedawno z powodu zachęcania do składek na zakład Magdalenek, *Wiek* zrobił słuszną uwagę, że biedna i uczciwa dziewczyna może w Warszawie umrzeć z głodu, jeżeli zaś chce uniknąć tego losu, musi na pewien czas zostać prostytutką, wtedy znajdzie zaraz pomoc i opiekę.

Obywatele miasta Rawy i okolicy obchodzili uroczyście jubileusz człowieka, którego skromne zasługi rzeczywiście powinny być podniesione. Człowiekiem tym jest p. E. Frydrychs, obywatel ziemski, niegdyś zamożny przemysłowiec. Jubilat pochodził z rodziny niemieckiej, ale szczerze ukochał kraj, w którym się urodził. Po skończeniu uniwersytetu warszawskiego wyjechał za granicę dla nabycia wykształcenia specyalnego, w 1830 r. powrócił do kraju, dosłużył się stopnia oficera i po kilkuletnim jeszcze pobycie we Francyi wrócił do stron rodzinnych, założył fabrykę wyrobów wełnianych i pierwszy u nas młyn parowy. Pomimo że zakłady prowadzone były wzorowo, a może właśnie dlatego, nie dawały one odpowiedniego dochodu i Frydrychs musiał je sprzedać. Wtedy osiadł na roli i jeden z pierwszych w kraju jeszcze w 1844 r. oczynszował włościan. W stosunkach z robotnikami i oficyalistami swymi był ludzkim i serdecznym, dzieci biedaków oddawał do szkół swoim kosztem. Do ostatniej chwili staruszek nie uchylał się od posług obywatelskich i dzisiaj nawet pełni urząd ławnika, sędzią zaś w tym samym okręgu jest wychowaniec jego, syn biednego służącego. Zapewne nie są to czyny rozgłośne, ale w naszych stosunkach taka praca obywatelska, taka wierność swoim młodzieńczym zasadom wymaga szczególnego odznaczenia.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego granica w Kaliskiem jest tak trudną do przebycia, kiedy w Płockiem jest na ścieżaj prawie otwartą? Muszę jednak wierzyć *Kaliszaninowi*, który zapewnia, że dzięki energii straży pogranicznej kontrabanda ustała prawie zupełnie i nie mogę niewierzyć *Korespondentowi* płockiemu, który dowodnie przekonywa mnie, że szwarcowanie wódki odbywa się jak za dawnych czasów. Sprytni niemcy wymyślili nawet nowy sposób mylenia czujności strażników; wy-

*) Autor słusznie wymaga, ażebyśmy w tak ważnej sprawie nie wydawali wyroków zaocznie i dali drugiej, dotąd milczącej stronie głos; zdaje nam się jednak, że jeżeli staniemy na stanowisku czysto rolnem (nie etyczno-społecznem), szkodliwy wpływ służebności dla rozwoju gospodarstw nie potrzebuje już dziś dowodzenia. *Red.*

syłają oni obecnie nie wódkę, ale środek leczniczy t. z. anodyny, w których wszakże główną podstawę stanowi okowita. Chłopi całemi butelkami kupują to lekarstwo i bez szkody dla zdrowia zażywają je w dozach wcale nie aptecznych. Pomysł to zresztą nienowy, chociaż zawsze skuteczny; czytelnicy nasi pamiętają zapewne „narodnyj odekołon," niby to wodę kolońską, którą szynkarze rosyjscy sprzedawali bajecznie tanio miejscowym chłopom.

Pp. Górnicki i Fajans, którzy dotychczas wytrwale współzawodniczyli na falach Wisły z wielką korzyścią dla pasażerów, poczuli nagle ku sobie wielką sympatyę i zamyślają podobno wejść w bliższe stosunki. Pasażerowie chrześcianie wołają na p. Górnickiego, że nie wypada poniżać się „przed żydem," pasażerowie izraelici zaklinają p. Fajansa, żeby nie „trefił się" wspólnictwem z gojem — wszystko napróżno: obaj przedsiębiorcy zapewniają, że są wyżsi nad marne przesądy. Maluczko więc, a nastąpi pojednanie dzieci jednej ziemi wraz z odpowiedniem podwyższeniem cen za bilety z Warszawy do Płocka i z powrotem. W ten sposób praktyczny antisemityzm dopiął zamierzonego celu; mam błogą nadzieję, że i antisemityzm teoretyczny czemś podobnem zakończy swoją „rolę."

Jakaś 70-letnia staruszka skarży się w *Tygodniu* na towarzyszów podróży z Piotrkowa do Łaska, którzy w bezczelny sposób umizgali się do szanownej matrony. Jakkolwiek jest to jeden z tych rodzajów działania, w których świadczymy o naszej „niespożytej żywotności narodowej," nie spodziewałem się jednak, żeby ten nadmiar energii nie szanował przynajmniej granicy wieku. Potępiłbym surowo bezecników, nielękających się 70 lat swej towarzyszki, obawiam się jednak, czy szanowna matrona nie była raczej przedmiotem żartu, który wzięła za dobrą monetę. Rozumie się, że żart tego rodzaju jest niemniej karygodny, ale nie tak wstrętny, jak umizgi do siwowłosej staruszki.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

Gazeta warszawska nawet pokropiła żółcią Galicyę, a raczej jej przewodników.

„Wolność konstytucyjna zaczyna u nas istnieć na papierze, a sfery urzędnicze, powołane do przestrzegania ustaw zasadniczych, na które zarówno cesarz jak najniższy urzędnik składają przysięgę, pozwalają sobie, nie wyjmując sfer autonomicznych, na gwałcenie wolności obywatelskiej. Do tej pory Lwów i kraj cały ochłonąć nie może ze słusznego oburzenia na praktyki, jakich dopuszczono się przy ostatnich wyborach w Krakowie, aby nie dopuścić do mandatu Romanowicza, a przeprzeć Machalskiego. Nic nas nie łączy z p. Romanowiczem, nic nie mamy przeciw p. Machalskiemu. Obaj mogą być dzielni i prawi patryoci. Dla partyi jednak „stańczyków" krakowskich Romanowicz był takiem straszydłem, że wołała kogokolwiek, choćby „czerwonego," byle nie Romanowicza. I na to zgoda. Nie wynika jednak z tego, aby posuwać się do czynów, które są pogwałceniem ustaw, nadużyciem władzy, która sama ustawy łamie i to w usługach dla jakiegoś stronnictwa, jak to właśnie zdarzyło się w Krakowie.

I jakiż tego rezultat? Opinia publiczna rozdrażnia się i rozgorycza, i przywodzi na pamięć inne wypadki podobnego nacisku władz i nadużyć przy każdej sposobności, w stolicy i po całym kraju. Z drugiej strony partya, która w ten sposób walczy, kompromituje siebie, wykazując swą niemoc, a pyrrusowe jej zwycięstwo jest raczej klęską, bo odstręcza kraj cały. Po raz to pierwszy stańczycy utracili grunt pod nogami, zdaje się, że już się porządnie chwieją — i to na własnem swojem śmieciu.

Czas już też prawdziwy wejść w siebie i przejrzeć, dokąd zaprowadziło nas to stronnictwo i dlaczego się tak stało? Stańczycy robią wszystko: wybory, politykę, rządzą. Koło polskie to oni, wydział krajowy, sejm, wszystko to oni, wszędzie oni, przynajmniej w poważnej większości. Ale dzierżąc władzę, stanowiska wpływowe, a nawiasem mówiąc, pomnąc bardzo o swoim interesie, ci wielcy statyści i politycy, prowadzący ster kraju i uważający się za jedyne palladyum naszych aspiracyj narodowych i przyszłości naszej, ci nieomylni i nieśmiertelni wywołać mogli przekonanie, że zrobią z tej Galicyi jeśli nie przybytek rajski, to przynajmniej przybytek swobody osobistej, uczciwości i godności obywatelskiej.

Tymczasem serwilizm, nepotyzm, korrupcya i egoizm na wskróś jak czerw toczą nasze stosunki pod każdym względem. Kilku-milionową ludność w sejmie reprezentuje kilkudziesięciu szlachty, książąt i starostów; w kole polskiem zasiadają, z małymi wyjątkami, albo ludzie słabi, albo despotyczni. Przy takich zastępach warstwy niższe, bez protekcyi duszą się na spodzie. Wierzchem świeci się szych i blaguje światu o naszych wolnościach."

PRASA ROSYJSKA.

Graždanin z powodu reskryptu cesarskiego o wznowieniu floty czarnomorskiej opowiada szczegóły o sławnej deklaracyi rosyjskiej z 1870 r., głoszącej unieważnienie warunków traktatu paryskiego:

„Pamiętam jakby wczoraj, rok 1870 w Carskiem Siole. Dyplomacya była formalnie w gorączce nerwowej ze strachu, kiedy zmarły Cesarz postanowił oznajmić Europie, że odtąd traktat paryski w tem, co dotyczy floty na morzu Czarnem, przestaje istnieć... I kiedy posłano tę wiadomość Londynowi, trzeba było widzieć biednego kanclerza ks. Gorczakowa, jak w pałacu carskosielskim całemi godzinami chodził po komnatach i wyczekiwał na telegram gabinetu Saint-James.

Najmniejszy szelest wprowadzał go w przestrach. Wzdrygał się i mówił cicho:

— Mon cher, c'est la guerre; mon cher, mon cher, c'est la guerre.

I ze sto razy powtórzył to zdanie rozstrojony nerwowo kanclerz, wówczas kiedy Cesarz, spokojnie wyrzekłszy swoje: „tak chcę i tak będzie," ani na chwilę wojny się nie lękał.

— J'ai vieilli de dix ans — mawiał później Gorczakow, wspominając tę chwilę straszliwego lęku Europy.

Nareszcie nadchodzi nazajutrz dopiero, w prześlicznym dniu letnim depesza z Londynu. Z gorączkowem drżeniem książę chwyta ją sam i sam zasiada do jej zdecyfrowania. Twarz jego rozjaśnia się powoli: ze zgrzytem zębów gabinet St. James uznaje ,,fait accompli''.

Niemniej z pewnością od Anglii rozgniewał się na nas wówczas i ks. Bismarck za tę niespodziankę, i uznawszy, że postąpiliśmy *niedelikatnie*, zmył kanclerzowi głowę przyjacielskim listem, w którym powiedział między innemi, że właściwie nic przeciw tej deklaracyi nie ma, ale uważa, że lepiej byłoby otrzymać tę koncesyę podaną końcem miecza zwycięzcy Sedanu, aniżeli rządzić się arbitralnie w Europie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odkrycie. *Kuryer warsz.*, który uważa każdy tydzień za stracony, jeśli w nim przynajmniej raz nie napadnie *Prawdy*, w ostatnich dniach użył tej przyjemności aż dwukrotnie. Mianowicie „zwrócono jego uwagę," że wydana przez nas *Ekonomia polityczna* „nie jest bynajmniej, *jak z pozoru wygląda*, samodzielnie ułożoną przez p. Piaseckiego kompilacyą, lecz po prostu skróconem tłomaczeniem dzieła ułożonego zbiorowo przez autorów niemieckich, a wydanego przez Schönberga." Gdy mu zaś p. Piasecki listem wyjaśnił, że jego stosunek do książki jest z niej widoczny, że przed wydaniem jej *Prawda* w n. 26 z r. 1884, jasno określiła pochodzenie i charakter polskiej przeróbki, że zaznaczyła to samo w odpowiedziach od redakcyi, *Kuryer* mimo to uznał uzasadnioną swoją uwagę, iż „chwalebny dotychczasowy zwyczaj nazywania tłomaczeń tłomaczeniami już na kartach tytułowych zaczynają pp. wydawcy przenosić do *prospektów* (?) i odpowiedzi redakcyjnych, a dzieła *tłomaczone* przyozdabiają *własnego pomysłu* tytułami, które im dają pozór *prac oryginalnych i samodzielnych*." Tego rodzaju posądzeń ną osobnym chrzcie nazywać nie potrzeba, bo one dawno ochrzczone zostały. Uprzytomnimy więc tylko czytelnikom podstawę zarzutu. Wychodzi po niemiecku ogromne dzieło, na którego *karcie tytułowej* podano *22 autorów*, gdyż każdy rozdział jest osobną rozprawą specyalisty. Wydajemy tę zbiorową pracę, streszczoną i skróconą do ⅓ części, z dopiskami polskiego tłomacza, opatrujemy każdy jej rozdział nazwiskiem odpowiedniego pisarza niemieckiego, zawiadamiamy na czele numeru *Prawdy* z czego książka ta została przerobioną, a ponieważ nie jest ona ani prostem tłomaczeniem, ani nawet streszczeniem (niektóre części musiały być zupełnie opuszczone) dajemy jej kartę tytułową: „Ekonomia polityczna — *według* (wymieniono tych samych co w oryginale 22 autorów niemieckich) *opracował* J. Piasecki." To jest — według *Kuryera* — „przenoszenie nazwy tłomaczeń z kart tytułowych do prospektów i odpowiedzi redakcyjnych" i nadawanie przekładom „pozoru prac *oryginalnych i samodzielnych*." Gdybyśmy w tej napaści widzieli odrobinę dobrej wiary, zapytalibyśmy, jak właściwie tytuł naszej książki brzmieć powinien. Nie: „opracował według..," nie: „przetłomaczył," nie „streścił" — więc jak? może: „skuryerował," jak ongi ów słynny p. G. L. w *Kuryerze warsz.*, który się okazał *Gazetą lwowską?* Ależ my nazwiska autorów z karty tytułowej oryginału powtórzyliśmy całkowicie.

Kasa imienia Mianowskiego ogłosiła sprawozdanie za rok ubiegły. Wykazuje ono zarówno wzrost jej zasobów, jak i rozwój działań. Pierwsze wynoszą obecnie rs. 89,856; kiedy zaś w r. 1881/2 wydano pożyczek i zapomóg rs. 6,582, w r. przeszłym — 10.978. Liczba członków rzeczywistych (składka rs. 5) nie zwiększyła się w tym okresie znacznie, ale nieco podrosła, co — jak na nasz łatwo stygnący zapał — jest objawem pocieszającym. Rezultat przekonał, że uwagi nasze o bezpożyteczności pewnych przedsięwzięć literackich, popartych przez Kasę, były słuszne. Tak np. przekładu Korneliusza Nep. sprzedano za rs. 4 kop. 54 *Sprawozdań* z piśmiennictwa przyrodniczego za rs. 29 kop. 80, z *Obrony Sokratesa* Platona i *Rozmyślań* Kartezyusza nie sprzedano nic. Dziwi nas, czemu prof. Struve zamiast tych dzieł, z których nikt nie korzysta, nie wybierze do przekładu jakiej gruntownej Historyi filozofii (np. Ueberwega), której nie mamy i która niewątpliwie znalazłaby licznych nabywców. Kapitał nakładowy byłby tu większy, ale pokryłaby go rozsprzedaż, jeżeli nie odrazu, to po latach kilku. Kto czyta Kartezyusza i Platona, czyta ich w oryginale, a w każdym razie ma wyborne przekłady na języki nowsze. Tymczasem z historyą filozofii radziby się poznajomić nawet ci, którzy obcych języków nie posiadają.

Pomnikowe wydanie dzieł Kochanowskiego — jak zaznaczyliśmy już — zostało ukończone. Tom III zawiera utwory łacińskie z przekładami polskimi. Podnosiliśmy dawniej wielką wartość i staranność tego wydania, które wyszło bez zarzutu, a odpowiedziało wszelkim wymaganiom litorackim i typograficznym; obecnie ponawiamy tylko uznanie dla komitetu, który tę pracę podjął i wykonał, oraz przypominamy czytelnikom, mogącym i pragnącym zaopatrzyć się w doskonałą i kosztowną edycyę dzieł wielkiego pisarza, że ona jest już gotową.

Niestrudzony pracownik, K. Estreicher, wydał znowu dwa pierwsze zeszyty tomu IX (wiek XVIII) swej niespożytego znaczenia *Bibliografii*. Dzieło to, już z natury swej otwierające szeroką możliwość błędom i opuszczeniom, tem niemniej pozostanie pomnikowem w naszej literaturze i długo stanowić będzie zrąb, na którym się oprą przyszłe badania. Pomimo udatnych lub znakomitych opracowań historycznych, pierwszy dopiero Estreicher ukazuje nam w całości skarbiec naszej literatury i wszystkie jego bogactwa.

Jubileusz 25-letni prof. Baranowskiego, lekarza, uczczono osobnym obiadem, na którym wypowiedziano kilka mów i ofiarowano jubilatowi album.

Za dobrym przykładem mitraliez wymyślających poszła *Gazeta handlowa*, jak gdyby pragnęła świat przekonać, że nie pochodzi od Sema, ale od Chama. Za uwagę naszą w „Kronice:“ „o jej zamiarze wydawania ceduły w kilku językach“ zwymyślała osobiście redaktora *Prawdy*. Do czego to dojdzie?

Spis jednodniowy ludności m. Warszawy dokonany będzie w pierwszych dniach stycznia 1887 r.

Rząd bułgarski za pośrednictwem prof. szkoły weterynaryjnej w Warszawie, p. Koziorowskiego, proponuje weterynarzom—polakom posady rządowe z pensyą 5,000 i 4,200 fr. rocznie, oprócz dodatków i zwrotu kosztów podróży.

Ofiara. P. Leon Lanwal złożył 60,000 rs. na urządzenie i utrzymanie przytułku pod nazwą: „dom Lanwala dla sierot po robotnikach,“ zapis ten został obecnie zatwierdzony, brat zaś ofiarodawcy dodał jeszcze 30,000 rs. na kapitał zakładowy. Dom dla przytułku p. L. buduje własnym kosztem.

Kto kłamał? Przed paru miesiącami kilka pism warszawskich doniosło o przeniesieniu fabryki stali na Nowej Pradze do Ekaterynosławia. Przeciwko tej wiadomości zaprotestował jakiś p. inżynier w imieniu p. Rau i zarządu tow. akcyjnego, tymczasem na zebraniu ogólnem akcyonaryuszów zatwierdzono obecnie przeniesienie fabryki do Cesarstwa.

Doktoryzacya. Lekarz Jan Przybylski po obronie rozprawy: *Spostrzeżenia nad nerwami, rozszerzającymi źrenicę kota* otrzymał stopień doktora medycyny.

Komisya specyalna złożona z prof. Janżuła, inspektora fabrycznego w okręgu moskiewskim, Iljina, dyrektora instytutu technologicznego i prof. Josse, zwiedzi Królestwo polskie dla zbadania na miejscu, o ile skargi fabrykantów moskiewskich na współzawodnictwo przemysłu tutejszego są uzasadnione i zasługują na uwzględnienie.

Teatr rosyjski. Z przedstawionych w dalszym ciągu utworów dramatycznych rosyjskich wyróżnia się komedya Sołowiewa *Małżeństwo Bielugina*. Artyści moskiewscy odegrali również dwa akty ze znakomitej komedyi Gogola — *Rewizor*; całość nie mogła być przedstawioną, ponieważ trupa nie posiada odpowiedniej liczby członków.

Zapytanie. *Gazeta polska* przytacza wyjątek z korespondencyi warszawskiej *Pietierb. Wiedomosti*, głoszący: „podczas pierwszego przedstawienia trupy rosyjskiej redaktorzy pism warszawskich pp. Szymanowscy, Kenigi, Świętochowscy, Fryzowie i *tutti quanti* świecili nieobecnością w teatrze i woleli czas spędzać na graniu w bilard“ i pyta wszechwiedzącego korespondenta gdzie i kiedy widział wymienionych redaktorów przy grze bilardowej.

Cygani otrzymali rozkaz opuszczenia państwa pruskiego, jako należący do narodowości polskiej.

Nowy obraz Matejki *Joanna d'Arc*, wystawiony obecnie w Krakowie, posłany ma być na wystawę do Berlina.

Sprostowanie. P. M. Synoradzki nadesłał nam objaśnienie, z którego wynika jasno, że uczyniony w n. 21 *Prawdy* zarzut autorowi zastosowany być powinien do korektora *Korespondenta płockiego*. P. S. napisał: „Ojciec Sawy zabity wielkie położył zasługi podczas buntu hajdamaków (lecz nie Gonty i Żeleźniaka“), zecer opuścił „lecz nie“ i nawias. P. Synoradzki dodaje, że błąd, wytknięty przez nas, znajduje się w artykule o Sawie w *Encyklopedyi mniejszej* Orgelbranda T. X. str. 347.

Cło. Z gubernii podolskiej wywozi się corocznie do Anglii olbrzymi transport fosforytów, które przerobione na superfosfaty wracają znowu do kraju, jako sztuczny nawóz. Obecnie fosforyty obłożone zostały cłem wywozowem.

Czarne krawaty. Pod tą nazwą istniało tajemnie w Gandawie stowarzyszenie „dla krzewienia rozpusty,“ którego członkowie, należący do klasy zamożnej, oddawali się haniebnym występkom. Dotychczas aresztowano kilkadziesiąt osób, zajmujących przeważnie wysokie stanowiska społeczne; wielu podejrzanych odebrało sobie życie.

Bibliografia. Sławiański. *Żydzi i rabin żydowski.* Trzy powiastki. Kijów.

— S. Goldflam. *O rozsianem wieloogniskowem stwardnieniu mózgu i rdzenia.* Warszawa.

— Dr G. Lewy. *Druga konferencya w kwestyi cholery*, odbyta w cesarskim zdrowotnym instytucie berlińskim. Warszawa.

— Teofil Rozmarynowicz. *Matematyczne podstawy ubezpieczenia na wypadek niezdolności do pracy.* Warszawa.

Zmarli. J. A. Zygmunt, współpracownik wielu pism codziennych.

— Prof. Di Majo, tłomacz Mickiewicza na język włoski.

— Adolf Wilkomm, historyk górnych Łużyc.

— August Starzeński, poseł do austryackiej Rady państwa.

OFIARY.

Do rozporządzenia redakcyi. Od U. D. N. 20 rs.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Мая 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.